

poprostu

**STUDENCKIE CZASOPISMO SPOŁECZNO-LITERACKIE
ZARZĄDU GŁÓWNEGO ZWIĄZKU MŁODZIEŻY POLSKIEJ**

Uwaga!

Bieżący numer naszego pisma jest ostatni przed przerwą wakacyjną. Od września br. POPROSTU jako tygodnik młodej inteligencji oprócz omawiania zagadnień studenckich, będzie poruszać w szerszym niż dotychczas stopniu problemy pracy absolwentów wyższych uczelni oraz interesujące całą młodą inteligencję zagadnienia ideologiczne, moralno-etyczne, kulturalne, naukowe itd.

Przypominamy: jedyną gwarancją otrzymywania każdego numeru POPROSTU jest prenumerata pocztowa. Już teraz (a najdalej 10 sierpnia) można zaprenumerować POPROSTU na m-c wrzesień — grudzień br. Prenumeratorzy, którzy wpłacili prenumeratę za m-c wakacyjne, będą automatycznie otrzymywać pismo we wrześniu i październiku br.

Spośród uczestników OGÓLNOPOLSKIEJ STUDENCKIEJ OLIMPIADY SZYBKIEJ ORIENTACJI (OSOSO) organizowanej przez naszą redakcję, następujący kol. kol. zostali nagrodzeni kartami uczestnictwa w V Światowym Festiwalu Młodzieży i Studentów:

JANUSZ MACIEJEWSKI — Akademia Medyczna w Poznaniu;
SŁAWOMIR PODOLAK — Politechnika Krakowska;
ROMAN SAMSEL — Uniwersytet im. M. Kopernika w Toruniu;
URSZULA SZUBERT — Uniwersytet im. B. Bieruta we Wrocławiu;
WALDEMAR SZWAJKOWSKI — Akademia Medyczna w Białymstoku.



Jest publiczną tajemnicą, że gdzie jak gdzie, ale na Grochowie chuligaństwo kwitnie i to na razie zupełnie bezkarnie.

Ktoś wpadł na koncept, by w tej dzielnicy wybudować domy akademickie dla 1400 studentów. Był to pomysł pożałowania godny, gdyż po pierwsze z Kickiego jest daleko do każdej warszawskiej uczelni, po drugie „dziki zachód” to nie najbardziej odpowiednie miejsce dla studentów. A przecież Warszawa to nie Broadway, gdzie akcja kosztuje zawrotną sumę i nie ma wolnych parcel.

No cóż, stało się, wybudowali, nie ma więc o czym dyskutować. Ale można i trzeba nawet mówić, ba, wołać gromkim głosem o zapewnienie spokoju i bezpieczeństwa studentom mieszkającym w domach akademickich na Grochowie.

*

Switało już, gdy 12 czerwca, o 3.30 nad ranem mieszkańców „akademika” na Kickiego zerwał na równe nogi krzyk: „Pomocy, napad!” Mieszkający na parterze studenci ASP pierwsi rzucili się do okien i oczom ich przedstawił się następujący widok: dwóch mężczyzn gonionych przez czterech opryszków ucieka, przeraźliwie przy tym krzycząc. Za nimi leżą cegły... Wreszcie jeden z uciekających zostaje dopadnięty i czterech bandytów zaczyna go „obrabiać” żelaznymi prętami.

Studenti widząc to podnieśli krzyk: „Zostawcie ich! Chuligani!”.

W odpowiedzi posypały się kamienie na „akademik”, a raczej na jego szyby. Na ulicę wybiegło pierwszych czterech studentów, na których widok chuliganów zbiegli do pobliskiej świetlicy, w której właśnie odbywała się zabawa. Dalszy bieg akcji cytujemy za memoriałem do Wydziału Nauki KC PZPR podpisanym przez Radę Mieszkańców Domu Studenckiego i kierownika Domu Studentów tow. Brzeskiego.

„Kilku studentów weszło do świetlicy, gdzie zwrócili się do przybywających tam funkcjonariuszy MO nr nr 942 i 1038 z prośbą o zatrzymanie chuliganów. Milicjanci byli w stanie nieatrakcyjnym i na prośbę nie zareagowali. Po kilkakrotnych interwencjach jednego ze studentów milicjanta nr 942 chwycił go za ramię mówiąc: „chcesz żebym ci d...”. Kolejna ten zapisał wtedy numer milicjanta. Wówczas jeden z chuliganów zasłonił numer służbowy milicjanta, szepcząc mu coś na ucho, a funkcjonariusz chwycił studenta za ramię. Chuligan widząc to zamierzył się na studenta metalowym prętem, lecz student wyrwał się i uciekł. Milicjanci przy pomocy ormowa podającego się za funkcjonariusza KBP i czynnym poparciem chuliganów znajdujących się na zabawie usunęli się studentów ze świetlicy. Chuligan, osłonięty poparciem milicjantów obrzucił uciekających studentów kamieniami i dopadł studenta ASP Ryszarda Borsę przewracając go i bijąc go głową w piersiach żelazną rurą i cegłami oraz zrywając mu z ręki zegarek wartości 2800 zł. Drugiego studenta ASP Mariana Gręte chuligan bilł po głowie żelazną rurą... Student kilkakrotnie zwracał się do obu funkcjonariuszy MO chcąc skłonić ich do interwencji. Niestety, milicjanci znajdowali się w towarzystwie chuliganów, a na interwencję odpowiadali wyrzucaniem ramion. Studenta ASP tow. Hudykę w chwili, gdy uścisnął skłonić milicjanta nr 942 do interwencji, stojący z milicjantem chuligan uderzył cegłą w twarz”.

Aby już nie cytować dłużej w skrócie podaję dalszy przebieg wypadków. Na okrzyk „Biją naszych!” na ulicę wybiegło około 500 studentów. Wywiązała się krótka bitwa na kamienie między studentami, a rozwydrzonymi poparciem milicji chuliganami, po czym studenci spędzili wszystkich łobuzów do świetlicy, którą otoczyli, nie wypuszczając z niej nikogo aż do przybycia patrolu Komendy MO m. st. Warszawy. Przybyły patrol, powitany gremialnym okrzykiem: „Hurra, trzeźwa milicja!” zaarrestował 8 chuliganów wskazanych przez studentów, zabrał pijanych milicjantów — jednym słowem przywrócił „ład i porządek”.

Była już godzina 5 rano, a więc minęło półtorej godziny od rozpoczęcia się awantury i prawie tyleż samo od chwili zaalarmowania milicji. Trzeba bowiem w tym miejscu powiedzieć, iż studenci z miej-

scą telefonicznie zawiadomili o tym zajściu 29 Komisariat MO na Grochowie (macierzysty komisariat tych pijanych funkcjonariuszy). Podobno około pół godziny trwały pertraktacje nim 29 Komisariat zgodził się wysłać na Kickiego milicjantów. Tłumaczyli się brakiem ludzi... Pół godziny pertraktowano, a upłynęło jeszcze drugie tyle zanim zjawili się 2 (słownie: dwóch) milicjantów, którzy oczywiście byli bezzilni wobec rozwydrzonego tłumu. 29 Komisariat MO nie pomyślał o tym, iż należy zciągnąć większe posiłki — musieli to zrobić sami studenci, którzy zawiadomili Komendę Stołeczną MO, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i w ogóle kogo się dało.

*

Przyznaję szczerze, że w opisie całego zajścia tendencyjnie ograniczyłem się tylko do spraw związanych z zachowaniem się milicji. Wydaje mi się jednak, iż tendencja owa jest słuszną. Gdyby ci dwaj funkcjonariusze MO nr 942 i 1038 byli trzeźwi i właściwie, od razu na początku zareagowali na chuligańskie wybryki, to nie doszłoby do tej całej historii. Ale oprócz tego trzeba powiedzieć otwarcie, iż od dłuższego już czasu słyszy się skargi na milicję, że nie potrafi ukroczyć chuligaństwu. Na ten temat krąży nawet dziesiątki dowcipów w rodzaju: „...Gdzie dwóch się bije tam nie ma milicji”.

Na Kickiego miał miejsce skandal jakich mało. W dziesiątym roku wadzy ludowej, która potrafiła dać sobie radę z reakcyjnym podziemiem, bandami UPA, pod boki milicji czterech studentów zostało zmasakrowanych przez chuliganów.

Ryszard Bors, student ASP, doznał uszkodzenia czaszki, po czym nastąpił wylew krwi do mózgu. W szpitalu dokonano natychmiast trepanacji czaszki, ale jak dotąd Ryszard Bors nie odzyskał słuchu i mowy.

Cała historia jest więc tragiczna i dlatego należy zająć się nią poważnie.

Sprawa skandalicznych wyczynów na Grochowie pozostaje nadal otwartą. Nawet po tym gdy patrol milicji zaprowadził na Kickiego „ład i porządek” chuligani odgrąжали się i teraz studenci w ogóle nie mają po co się pokazywać na Grochowie.

Jeśli zaś chodzi o konkretne wnioski w sprawie skandalu na Kickiego, to podpisuję się obiema rękami pod następującym akapitem ze wspomnianego już wyżej „memoriału”.

„Prosimy władze odpowiedzialne za zapewnienie nam zagwarantowanego przez Konstytucję PRL spokoju i bezpieczeństwa, o energiczne zajęcie się sprawą należytego ukarania winnych i wyciągnięcie wniosków na przyszłość. Domagamy się, aby sprawa była rozpatrywana w czasie roku akademickiego na sesji pokazowej w tejże świetlicy, a o terminie byli powiadomieni studenci uczelni warszawskich i mieszkańcy Grochowa”.

ANDRZEJ BERKOWICZ

Przylgając się do powyższej prośby, kierujemy ją do: Ministra Spraw Wewnętrznych, Ministra Sprawiedliwości i Prokuratora Generalnego RP oraz prosimy o odpowiedź: jak długo jeszcze zamierza się tolerować taki stan rzeczy?

Redakcja

P. S.

Dziwimy się bardzo, że tak poważne pismo jak „Życie Warszawy” zamieściło w dn. 15 czerwca br. notatkę z której wynika, że w zajęciach na Kickiego sami studenci ponoszą niemalą winę.

Uważamy, że studenci z Kickiego postąpili nad podziw dobrze. Nie dali się sprowokować do bójki i zamknęli chuliganów w świetlicy, gdzie trzymali ich aż do przybycia milicji. No cóż, może podpisany pod notatką „in” jest zwolennikiem zasady pokory chrześcijańskiej wyrażonej w haśle: „On na ciebie kamieniem, ty na niego chlebem”.

Przed gmachem hotelu „Ambasador” przy głównej ulicy Bukaresztu gromadziły się każdego przedpołudnia tłumy młodych delegatów Festiwalu. Pewnego razu, gdy oczekiwała tam na autokar spora grupa radzieckiej młodzieży w barwnych strojach ludowych kilkunastu chyba republik — rozegrała się scena następująca:

Do smagłej Gruzinki, popularnej na Festiwalu śpiewaczki, zbliżyła się nieśmiało niepozorna, ruda dziewczyna. Przyjechała z Anglii lub Australii, w każdym razie mówiła tylko po angielsku i trudno było jej porozumieć się z kimkolwiek, nie władającym tym językiem. W jakiś jednak sposób została zrozumiana, gdy niepewnym, konfidencjonalnym szepetem poprosiła Gruzinkę:

— Pokaż mi prawdziwego komunistę, przecież na pewno są tu wasi sowieccy komuniści... — I jakże! — roześmiała się szeroko śpiewaczka. — Proszę bardzo. Nie łatwiejszego! I wskazała oczyma rosnącego, sympatycznego chłopaka o bujnej czuprynie, który rozprawiał właśnie o jakimś meczu piłki nożnej, demonstrowując co cenniejsze podania.

Wtedy ruda dziewczyna spogląda na chłopaka uważnie, nie rzygając od stóp do głów jak jakieś egzotyczne dzwono, a potem powiada rozczarowana: — Cóż to za komunist? Przecież on niczym nie różni się od naszych chłopców. Jest nawet bardzo przystojny...

Śpiewaczka z Gruzji śmieje się teraz na cały głos, ukazując śnieżno-białe zęby:

— A jak wyobrażałaś sobie komunistę?

Dziewczyna jest nieco speszona, ale także wybucha głośnym śmiechem i oto wszyscy śmieją się głośno, do rozpuku, i wsiadają razem do autokaru, który właśnie w tej chwili nadjechał.

Podobne sceny rozgrywały się w Bukareszcie często, chyba codziennie. Kiedyś podczas dyskusji młodych artystów, malarzy, muzyków i pisarzy w sali „Dales” — pewien młody duński literat zapytał zupełnie poważnie i w najlepszej wierze Polaków i Czechów:

— Jak często otrzymujecie od partii instrukcje co i jak napisać lub namalować?

Był przekonany, że „instrukcje” te rosłyby się przynajmniej co tydzień. Nielatwo było wyprowadzić go z błędu.

KOMERONTAWA

Każdy Festiwal Młodzieży jest dla wielu tysięcy młodych Włochów, Francuzów czy Anglików wstrząsem, odświeżeniem, wrażliwością, wielką konfrontacją. W wielu krajach Europy i Ameryki, Azji i Afryki — prasa, radio, film i książki przynoszą co dzień nowe „sensacje” z „żelaznej kurtyny”. Nie zawsze zresztą przypominają one na pierwszy rzut oka baśnie Szecherezady, „robione” są często przez doskonałych w swoim rodzaju specjalistów, którzy potrafią nadać oświeceniowemu i wymysłom pozorów prawdopodobieństwa. Dlatego też niejedną uczciwą nawet człowieka ulega — chcąc nie chcąc — kapłanom dolarowej propagandy.

Znakomity pisarz szwedzki Arтур Lundkwist mówiąc o Festiwalu warszawskim powiedział: „Każde pokojowe przekroczenie granicy jest krokiem na drodze zbliżenia narodów”. Jaka to prosta, a zarazem głęboka prawda!

Znowu w tym roku dziesiątki tysięcy chłopców i dziewcząt — na przekór tym wszystkim, którym nie w smak jest zbliżenie narodów — przebiega wyimaginowaną „żelazną kurtynę”, przybiedz do naszego kraju, do Warszawy i skonfrontuje bzdury z rzeczywistością.

Raduję nas wybór miejsca V Festiwalu. Jak to dobrze móc pokazać naszym gościom i przyjaciółom prawdę o naszym dniu

strofy poematu o Polsce Pablo Neruda, nadając mu — jakże wymowny tytuł: „Tam gdzie umarła śmierć”. Rosnącej Warszawie poświęcił swój wiersz poeta włoski Salvatore di Benedetto:

„Kto cę ujrzał choć raz jeden tak jak ja cię ujrzałem, —

Warszawo, kto wyczuł rytm twojego serca... ten zawsze będzie Cię uwielbiał miłością nową i wielką, miasto zrujnowane i wielokrotnie spalone, które pnie się w górę i odrasta w oddechu całego świata”.

Tak odczuwają cud wskrzeszenia, triumf pokoju nad „wojną” i życia nad śmiercią poci wielu narodów. Tak odczują obraz Warszawy nasi drodzy festiwalowi goście.

Wielkie to szczęście otwierać ludziom oczy. Wielkie to poslanictwo — zbliżyć narody do naszego wspólnego, jakże zaszczytnego obowiązku. Obowiązek gospodarzy Festiwalu.

Uczynimy wszystko, by goście nasi opuszcili kraj w głębokim przeświadczeniu, że kochamy Polskę i dlatego kochamy inne narody, ich miasta, ich obyczaje i kultury. Uczynimy wszystko, by poznali rzeczywistość, nieskazywaną prawdę o naszym życiu. Będziemy witać i gościć ich najgodniej słowami przyjaźni i czynami przyjaźni, ukážemy im z dumą co mamy najlepszego, ale nie będziemy ukrywać, że nielutwa jest nasza droga i że wiele trudności pozostało jeszcze do przezwyciężenia. A oni — wszyscy nasi różni i różni, przyjaciele — poznają nas, nasze życie tworzone z trudem i pieśnią, pokochają miasto Festiwalu i będą nam odtąd jeszcze bliżsi.

J. S.

Szymon Kobylński — JAK SOBIE WYOBRAŻAM FESTIWAL



Walczmy o trwały pokój, o szczęście i radość młodzieży! Precz z podżegaczami wojennymi!

Między Budapesztem a Warszawą



Stary, ludowy węgierski „taniec z szarfami” — w wykonaniu Państwowego Zespołu Ludowego

Przygotowania węgierskiej młodzieży do Festiwalu w Warszawie trwały od jesieni ubiegłego roku. Często zwracały się do mnie niektóre artystyczne zespoły zakładowe, szkolne a nawet Centralny Zespół DISZ (Związku Młodzieży Węgierskiej) z prośbą o pomoc. Chodziło mianowicie o to, abym poradził, jakim tańcem, pieśnią czy sztuką zespół mógłby wywalczyć prawo do wyjazdu na Festiwal w Warszawie. Miałem więc okazję oglądać kilka zespołów szkolnych i zakładowych tańczących z dużym wyczuciem miarę i krakowiaka lub śpiewających po polsku pieśni z repertuaru „Mazowsza”.

Prawdziwym zwrotem w życiu kulturalnym węgierskiej młodzieży było ukazanie się 1. II. br. odezwy wydanej wspólnie przez Zarząd Główny DISZ, Krajową Radę Związków Zawodowych, Ludowy Front Patriotyczny i Ministerstwo Kultury i Sztuki. Odezwa ta wezwała młodzież węgierską do wzmożonej pracy na polu kulturalnym. Przygotowano się do godnego uczczenia X rocznicy wyzwolenia Węgier (4 kwietnia br.), a potem do II etapu przedfestiwalowych przygotowań. Wreszcie nastąpił szereg festynów i pokazów kulturalnych ku uczczeniu II Kongresu Węgierskiej Młodzieży Pracującej.

Właśnie przed kilkoma dniami odbyły się w Teatrze Ertela finałowe eliminacje zespołów kulturalnych urzędzone staraniem organizatorów II Kongresu DISZ. Współzawodnictwo kulturalne młodzieży węgierskiej o wyjazd na Festiwal stało się naprawdę odskocznią do wzbogacenia jej codziennego życia. W eliminacjach wzięły udział zespoły teatralne i soliści, którzy występowali w konkursie im. Beli Bartoka dla uczczenia X rocznicy śmierci tego wielkiego węgierskiego kompozytora, natomiast recytatorzy uczyli 50 rocznicę urodzin wielkiego poety proletariackiego Attilę Józsefa konkursem recytatorskim. Następnie zorganizowano na skalę krajową konkurs tańców ludowych.

Eliminacje wstępne odbyły się w poszczególnych szkołach i zakładach pracy. Zdobywcy pierwszych miejsc mieli prawo do uczestniczenia w dalszych eliminacjach na szczeblu powiatowym, wojewódzkim i wreszcie centralnym. Eliminacje takie

odbywały się zawsze w ramach tzw. „Spotkań Młodzieży” połączonych z grami towarzyskimi, widowiskami i zawodami sportowymi. Najlepsze zespoły młodzieży przybyły z całych Węgier do Budapesztu, aby zaprezentować swój repertuar w teatrze Ertela. I właśnie z tych zespołów zostaną wybrane delegacje do ekipy kulturalnej na Festiwal.

W przeglądzie kulturalnym wzięło udział 10 tys. zespołów z 200 tys. młodych uczestników. Pokazy i przygotowania do nich przyczyniły się w dużym stopniu do pogłębienia

pracy kulturalnej DISZ; powstało np. 800 nowych zespołów młodzieżowych, co jest oczywiście olbrzymim osiągnięciem.

Zespoły te po zakończeniu eliminacji festiwalowych nie spoczną naturalnie na laurach lecz nadal kontynuować będą pracę i dawać często próbki swego talentu przed szerokim forum publiczności. Szczególną troską otoczone są te zespoły, które zakwalifikowano do Festiwalu.

Zarząd Główny DISZ zorganizował także specjalny konkurs dla młodych rzeźbiarzy, malarzy, literatów i poetów. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w najbliższych dniach. Niedawno otworzyła swe podwoje wielka wystawa młodych artystów, malarzy i rzeźbiarzy. Najlepsze eksponaty wystawy zostaną wysłane do Warszawy na konkurs festiwalowy.

Ale wróćmy jeszcze do teatru Ertela i przyjrzyjmy się bliżej finałom zespołów kulturalnych. Na wstępie muszę przyznać, że na mnie osobiście największe wrażenie sprawił Centralny Zespół Pieśni, Muzyki i Tańca Budapeszteńskiego DISZ. Prawdziwą burzę oklasków wywołał taniec pt. „Karneval”, który przedstawiał bukareszteński Festiwal. Poza tym imponująco wypadł mieszany chór budapeszteńskiej politechniki, który słynny jest z tego, że składa się z najlepszych studentek i studentów. Średnia wyników w nauce członków chóru jest o 0,5 wyższa od przeciętnej pozostałych słuchaczy politechniki.

Zespół pionierów podstawowej szkoły w Kalocsa zaprezentował jedyną w swym rodzaju dziecianną sztukę ludową. Ludowy zespół z Debreczyna przedstawił ciekawy taniec pasterzy z puszczy Hortobagy. Tę piękną przedfestiwalową imprezę zakończyło odpiewanie zarówno przez widzów jak i aktorów hymnu SFMD „Naprzód młodzieży świata”.



Cl dwaj starszołwccy żołnierze to członkowie zawodowego zespołu FABRI z francuskiego teatru „d'Aujourd'hui”, który zdobył pierwszą nagrodę na konkursie młodych zespołów, a w Warszawie podczas Festiwalu wystawił „Arlekina”. Przedstawienie to reprezentuje najlepsze tradycje teatru francuskiego.

Słoń a „sprawa duńska”

Znana była u nas przed wojną kwestia „słoń a sprawa polska”. Np. jeśli wykryto w Afryce nowe złoża węgla, sanacyjni politycy rozważali wpływ tego faktu na „mocarstwowe stanowisko Polski”. Ostatnie wydarzenia przedfestiwalowe dowodzą, że podobne metody próbują stosować niektórzy działacze młodzieżowi w Danii.

Boli ich i spać im nie daje ta okoliczność, że młodzież duńska odnosi się z sympatią do idei Festiwalu. Gnębi ich to, że wiele wybitnych osobistości Danii poparło przygotowania do Festiwalu. Martwi ich np. to, że uczestniczka Festiwalu w Bukareszcie p. Solvejg

oświadcza publicznie: „Zachęcam wszystkich młodych — niezależnie od ich przekonań religijnych czy politycznych — do udziału w spotkaniu warszawskim. Festiwal jest niezapomnianym i czarującym przeżyciem. Jest to przy tym jedyna sposobność zawarcia znajomości z młodzieżą całego świata, poznania różnorodnych kultur. Im bardziej jesteśmy różni, tym więcej możemy się wzajemnie od siebie nauczyć”.

I chyba właśnie tego najwięcej obawiają się niektórzy działacze duńscy: żeby młodzież Danii nie nauczyła się czegoś od nas. Ale jak tę obawę zatłuszczać i jak odwiec chłopcom i dziewczętom od przyja-

Gdy byłem dzieckiem i po raz pierwszy ujrzałem kształt geograficzny Półwyspu Skandynawskiego oraz jego miejsce na mapie Europy — Norwegia wydała mi się podobna do plecaka, zwisającego ciężko na plecach pozostałej części Półwyspu. Moja dziecięca fantazja sprawiła, że porównywałem Norwegię i Szwecję do zmęczonej kobiety, pragnącej uisnąć na Danię, aby nieco odpocząć. Sądząc, że czytelnik odniesie podobne wrażenie jeśli z odrobiną fantazji rzuci okiem na mapę Europy.

Minęło przeszło tysiąc lat od czasu gdy Harald Harfagre połączył Norwegię w coś, co można by najlepiej scharakteryzować jako państwo narodowe. Lecz nasze tradycje jako niezależnego i wolnego państwa nie pokrywają się całkowicie z tym okresem. Na początku XIII stulecia kraj stał się zależny od Danii. Stan ten trwał do roku 1814, kiedy zawarliśmy unię ze Szwecją. Pełną niezależność narodową osiągnęliśmy dopiero w r. 1905. W tych dniach będziemy właśnie uroczystie obchodzić rocznicę tego radosnego dnia.

Ten stan rzeczy wywarł naturalnie swe piętno na naszym rozwoju kulturalnym. Podczas całego „okresu duńskiego” uniwersytety i szkoły wyższe mieściły się tylko w „kraju macierzystym”. Stawiało to niemal nieprzebyte przeszkody na drodze tej młodzieży norweskiej, która pragnęła studiować.

Dopiero w r. 1813 — 350 lat później niż Dania i Szwecja — Norwegia wzniosła własny uniwersytet narodowy. Otrzymał on miano Uniwersytetu króla Fryderyka. Nazwa ta jednak w r. 1935 zmieniona została na obecną — Uniwersytet w Oslo. W r. 1813 miała miejsce pierwsza immatrykulacja. Na pierwszym roku studiowało wówczas 18 studentów — liczba niezwykle skromna, jeśli się porówna z cyfrą 6 tysięcy studiujących dziś w Norwegii.

Na Uniwersytecie w Oslo kształcą się 4000 studentów z całego kraju. Z liczby tej 20 proc. stanowią kobiety. Uniwersytet mieści się w wielu budynkach, rozrzuconych w różnych punktach maszki stolicy. Myśląc o Uniwersytecie najchętniej jednak przywołuję się na pamięć stary budynek na Karl Johansgate, przed którym zbierają się nowi studenci, gdy w związku z immatrykulacją wysłuchują przemówienia rektora.

Wkrótce po zakończeniu wojny liczba studentów wzrosła ogromnie, ostatnie jednak lata wykazują tendencję spadkową. Dzieje się to z wielu powodów, lecz moim zdaniem najważniejsze z nich są dwa: stale wzrastające koszty utrzymania oraz brak możliwości otrzymania po studiach pracy, która odpowiadałaby w jakimś stopniu kosztownym studiom.

Studenci nasi pochodzą ze wszystkich warstw społecznych, grupy te jednak nie są reprezentowane proporcjonalnie do swej liczebności. Grupa społeczna, która w statystykach oficjalnych figuruje pod nazwą robotnicy stanowi ponad 50 proc. ludności, lecz pochodzi z niej tylko 7 proc. studentów.

By dać polskim kolegom-studentom pewien obraz warunków, w jakich żyje student norweski, posłużę się przykładem środowiska studentckiego w Oslo.

Wydatki na utrzymanie i studia uniwersyteckie w stolicy kraju wynoszą najmniej 3.500 koron rocznie. Sumę tę nie łatwo zdobyć. Nie rośnie ona przecież tak jak owoce na starych drzewach w parku studentckim przed Uniwersyteciem. Musi być żmudnie „uciulana” ze skromnych budżetów rodzinnych, albo pochodzi z pożyczki, którą można zacią-

Wielu zatem studentów pożyczka mniejsze kwoty i więcej pracuje. Konsekwencje — przedłużenie czasu studiów i zagrożenie zdrowia studentów. Wielu z nich przerywa wobec tego naukę i zabiera się do pracy zarobkowej. Ale niewiele jest takich wydziałów, na których można jednocześnie pracować i uczyć się — np. medycyna wymaga obowiązkowych ćwiczeń.

Czytelnika dziwi może, iż dotychczas nie wspominałem o stypendiach i innych środkach pomocy dla studentów. Muszę jednak powiedzieć, iż nie odgrywają one u nas jakiejś poważniejszej roli. Państwo przeznacz na ten cel obecnie 150.000 koron rocznie. Renty i dotacje prywatne nie przekraczają 74.000 koron. Razem więc fundusz stypendialny wynosi ok. 224.000 koron. Jeśli podzieli się tę sumę na 6.000 studiujących, każdy student otrzyma... 38 koron rocznie. Naturalnie pieniądze nie są dzielone w ten sposób, lecz nawet najbardziej potrzebujący może otrzymać 300 — 600 koron rocznie. Ogólnie więc biorąc, tego rodzaju „pomoc” jest raczej symboliczna.

Wiele gmin w kraju ofiarowało pieniądze na budowę pięknego Miasteczka Studentckiego w Sogn, w którym czynsz wynosi 75 koron miesięcznie. Miasteczko Studentckie wyrażało co prawda wielu studentów ze szpon tzw. „hien mieszkaniowych”, które dawniej łupili z nich skórę. Ale nie wszyscy mogą mieszkać w Sogn. Zdarza się jeszcze, iż student mieszkający prywatnie musi nie tylko płacić wysoki czynsz, ale także opiekować się dziećmi gospodarza, myć podłogi i wykonywać różnego rodzaju inne prace „domowe”.

Nasze organizacje studentckie wysuwały często pod adresem władz usilne żądania o przeznaczenie większych kwot na poprawę bytu studentów, lecz jak dotąd — przynosiło to małe rezultaty.

Być może wielu czytelników sądzi, że warunki socjalne studentów w naszym kraju przedstawilem w zbyt ciemnych barwach. Dlatego też chcę podkreślić ponownie, iż artykuł ten opracowałem na podstawie danych Studentsamskipnaden oraz Centralnego Urzędu Statystycznego.

Na zakończenie pragnę podkreślić wielkie znaczenie, jakie miałaby wymiana studentów między Polską i Norwegią na wzór tej, jaka obecnie ma miejsce pomiędzy Komitetem Antyfaszystowskim w Moskwie a naszym związkim studentckim. Nie mogę zaproponować jakiegos konkretnego planu, lecz sądzę, iż byłoby pożądane, żeby Zrzeszenie Studentów Polskich zwróciło się do Związku Studentów Norweskich w Oslo w celu rozpoczęcia pertraktacji na ten temat.

GEORG ROSEF
student wydziału prawa
Uniwersytetu w Oslo

Kłopoty norweskich studentów

(Korespondencja własna z Oslo)

W Państwowej Kasie Pożyczkowej dla Studiującej Młodzieży. Lecz z tą chwilą problem wcale nie zostaje rozwiązany. Pieniądze trzeba przecież zwrócić po ukończeniu studiów.

Studia takie jak moje (prawnicze) — trwają normalnie ponad 5 lat. Biorąc pod uwagę wymienioną wyżej sumę 3.500 koron, studia takie kosztowałyby niemal 18.000 koron. Aby jednak nie narazić się na posadzenie o przesadę, będę trymał się jedynie oficjalnej statystyki Studentsamskipnaden (społeczna organizacja pomocy studentom). Oblicza się tam koszty studiów prawniczych na 13.000 koron. Jeśli weźmiemy pod uwagę, iż student pożyczł tę sumę (a przecież robi to 60 proc. studentów) musi on po ukończeniu studiów spłacać pożyczkę plus procenty (2,75 proc. rocznie), tzn. 984 korony rocznie w ciągu 13 lat! Stanowi to ogromne, dodatkowe obciążenie mizernej pensji, jaką absolwent może osiągnąć w przeciągu wielu lat po dyplomie, jeśli w ogóle uda mu się otrzymać pracę w swoim zawodzie.



Cały świat filmowców i miłośników kinematografii zna nazwisko i podziwia wspaniałą grę meksykańskiej artystki Rosaura Revueltas, która wstąpiła się w filmie „Sól ziemi”. A oto co mówi Rosaura o Festiwalu:

Festiwal jest pięknym aktem, gdyż bierze w nim udział młodzież, która jest najlepszą częścią całego rodzaju ludzkiego. Festiwal to nie tylko współzycie przez pewien okres czasu ludzi ze wszystkich stron świata, lecz równocześnie wielki symbol, gdyż to chwilowe współzycie pokaże nam obraz przyszłego społeczeństwa, zawsze młodego duchem i jednoczonego sercem, społeczeństwa, którego nie będą dzielić, ani granice, ani języki.

Na zdjęciu: Rosaura Revueltas (Esperanza) i Juin Cheon (Ramon) w scenie z filmu „Sól ziemi”.



Będąc w ubiegłym tygodniu w Opolu Lubelskim zauważyłem dość charakterystyczną ulotkę rozlepioną na murach. Oto jej treść — „Młodzieży! Zgłaszaj się na ochotniczy werbunek do brygad żniwnych „Służba Polsce”, gdzie czeka na was ciężka, ale zaszczytna praca”. W całej tej ulotce nie byłoby nic dziwnego, gdyby nie to, że słowo „ciężka” starannie zamazano tuszem.

*

W czasie ubiegłego lata byłem z kolegami w jednym z gospodarstw rolnych woj. szczecińskiego. Dwa gorące tygodnie minęły bardzo szybko, zostało wiele wrażeń i wspomnień. Niektórymi chciałbym się z wami podzielić.

Obok wielu zdjęć z PGR-u, które dziś przeglądam, jest jedno, mające dla mnie szczególną wartość. Na zdjęciu kierownik PGR-u bije w gong.

Z tym gongiem to nie była łatwa sprawa. Zrywał nas z łóżek już o wpół do szóstej. Codziennie wieczorem przysięgałem sobie, że nie wstanę rano, przecież nikt nie może mnie do tego zmusić i... codziennie rano wstawałem. Zresztą nie tylko ja nienawiziałem jego dźwięku i nie tylko we mnie, nawet wtedy gdy milczał, sam jego widok budził złe myśli. Nie cierpieliśmy go wszyscy.

Większa część naszych poobiednich rozmów obracała się wokół tego, jak unieszkodliwić pustą butlę tlenową, która przerywała nam odpoczynek. Odpoczynek miał tam wartość co najmniej dwa razy większą, niż normalnie — podczas całego roku. Nie byliśmy specjalnie przygotowani do pracy, było jej dużo.

Robotą w polu — to była raczej przyjemność. Naładowawszy wozy jechaliśmy długo do odległej stodoły, kołując się lekko na spiętrzonych snopkach. Na zdjęciu, które z ostatniego wozu zrobił Jurek, widać same roześmiane i rozbawione twarze. Z tym transportem w ogóle mieliśmy dużo zabawy. Wyobraźcie sobie miny kolegów, którzy bohatercko obiecywali „furmanić”, gdy okazało się, że do czterech oborników, spiętych razem, drabiniastych wozów zaprzęga się... traktor.

W sasku było ciężkie, a najtrudniej — przy młóce. Kolejne zdjęcia to właśnie te z młócki. Sam ich widok jeszcze dziś powoduje u mnie przykre wrażenie zasychania w gardle. Pierwsze z nich: obornik stogi, maszyny i drobne figurki ludzi. Drugie — twarze ludzi, zacięte, czujne, nie patrzące w stronę obiektywu. Ludzie muszą nadążyć za maszyną, każdy ruch jest obliczony, spóźnisz się, zabraknie twojej ręki — spowodujesz przestój. Tak, nie było łatwo.

A jednak większość fotografii z mojego albumu to obrazy pełne radości życia, słońca i młodoci. Najtrudniejsze były pierwsze dni. Gdy ramiona przyzwyczaiły się do podnoszenia wysoko nabitego na widły snopka, a plecy do schylania się za sunącą szybko snopowiznąłką, świat zdawał się być całkiem inny. Zniknęły gdzieś ospałość i ociężałość. Zostawała świadomość sprawności i siły. Czy znacie tę satysfakcję, gdy po upalnym i znojmym dniu ramiona z przedziwną lekkością tną przezroczyście wodę jeziora? Wierzcie mi, że dla tej jednej, malej satysfakcji warto pracować do omdlenia ramion.

Praca to jeszcze nie wszystko. Na atmosferę, w której człowiek podejmuje ciężkie nieraz zadanie składa się wiele czynników. A przecież od tego zależy czy praca da nam radość i zadowolenie. Można, że potraficie stworzyć w swoim kolektynie właściwą atmosferę pracy, taką jaką była u nas? To już zależy od was, od waszego osobistego zaangażowania się w sprawy ludzi, dla których będziecie gośćmi i pomocnikami.

Chciałbym, aby między nami nie było niedowierzeń, czy też dużoznacznego przynależności oka. Myślę, że traficie do różnych gospodarstw, lepszych i gorszych. Możliwe, że spotkacie ludzi dobrych i odpowiedziałnych, a gospodarstwo przygotowane do żniw. Nie jest również wykluczone, że możecie się znaleźć w atmosferze oszustwa i kumoterstwa, że zobaczycie brudnych, ponurych ludzi, którzy niechętnie będą na was patrzyli, że później wykrzyknie ich również brudne sprawki. I tu pojawia się inna kwestia.

Przyjazd brygady wprowadza w takie środowisko nowe elementy. Wyobraźcie sobie, że przyjeżdża grupa ludzi, którzy nowym spojrzeniem potrafią ogarnąć sytuację, którzy nie pozwolą się oszukać w normowaniu, których się nie zakrzykcy. Nie trudno wtedy przekonać się, gdzie tkwi źródło zła, nie trudno je wskazać tym, którzy go

R. WIŚNIOŃSKI

do tego czasu nie zauważyli wśród wielu codziennych spraw.

Nie ma się co łudzić, że potrafimy rozwiązać w ciągu dwu tygodni trudne sprawy zlego PGR-u. Zostaną tam jednak ludzie, którzy je doprowadzą do końca. Znam wiele PGR-ów, gdzie do dziś mówią: „Od czasu pobytu studentów zmieniło się, ale co się tu dzieło”...

Wasze postępowanie, wasz stosunek do pracy, do wszystkiego czym żył PGR będą uważnie obserwowane. Chyba się nie mylę, twierdząc, że da to wiele do myślenia tym, którzy czynią lub jeszcze tolerują zło. Między innymi i dla tego jesteśmy tam potrzebni.

Zastanawialiście się zapewne nieraz dlaczego w okresie żniw nasze PGR-y potrzebują tylu rąk do pracy. Jak zatem pracują przez cały rok? Dam wam przykład z mojego PGR-u. Liczył on prawie 300 ha. Żalugi było wtedy 25 osób. A więc za mało. Kierownik twierdził jednak, że świetnie daje sobie radę. Większą część pracy wykonują maszyni. Tylko zebranie plonów łączy się ze zwiększonym zapotrzebowaniem na siłę ludzką. Właściwie wszystkie duże majątki przed wojną, właśnie w tym okresie ściągali z miasta obornik rezerwy wolnej siły roboczej. Wtedy robotnikami sezonowymi byli bezrobotni. Dziś wolnych rezerw nie mamy, a wręcz przeciwnie przez cały rok odczuwamy ich brak. Nie ma u nas rąk wolnych od pracy. Sprawa jest więc jasna.

Nie będę pisał więcej ani o rzeczach złych, ani przyjemnych. Szczególnie o przyjemnych, było ich bowiem bez porównania więcej niż złych. Aby sobie przypomnieć życie w PGR sięgnęłam na początku do zdjęć. Mam ich wiele. Jedno jednak zostawiłam na koniec.

Nad płaskim polem nisko wiszą zwalający chmur. Ludzie uwiązają się przy małych, pękających snopkach.

To było w sobotę, w dzień przed wyjazdem. Dostaliśmy wypłatę. Potrudnie należało do nas. Koleżanki wyciągnęły sukienki (kombinezony oddaliśmy magazynierowi). Kilku kolegów zabrało duży koszyk i poszli do spółdzielni po wino. I wtedy po raz ostatni zabrzmiał gong. Drugo i natęczył się, dopóki nie stanęliśmy, ociągając się, na miejscu zbiórki. Kierownik grupy wyjaśnił, że barometr zapowiada deszcz, a w polu stoi kilka hektarów rzepaku. Jeżeli nie zostanie zebrany jeszcze dziś, pójdzie na marne całoroczny wysiłek ludzi i przepadną tony cennego surowca przemysłowego. Następnej brygady jeszcze nie ma. Ochotnicy za 5 minut wyruszą w pole. Milczeliśmy, staraliśmy się unikać spojrzeń towarzyszy. Po 5 minutach spotkaliśmy się znowu koło gongu; czekał już nasz „pociąg”-traktor, zaprzężony do czterech drabiniastych wozów.

Gdy w niedzielę rano wyruszyliśmy na stację — lal deszcz. Kierownik PGR-u troskliwie okrywał nas obornikami plandekami. Poza nim nie żegnał nas nikt. Spoza ściany deszczu dochodził równy łoskot pracującej młocarni — tam każda para rąk była potrzebna.

*

Nie chciałbym wprowadzać was w błąd. Wspomnienie piszę po to, aby zwiększyć liczbę uczestników studenckich brygad wyjeżdżających na żniwa do PGR-ów. Tam nas bardzo potrzebują. Nie wiem, czy bez nas zdolają się obejść.

Za kilka tygodni rozpocznie się bitwa o chleb. Bitwa prawie w dosłownym znaczeniu. Nie przypuszczam, aby konieczne tu były obszerniejsze wyjaśnienia. Sprawa jest jasna. Tak było rok i dwa lata temu. Dziś, tak jak i wtedy, czekają na nasze mocne ręce.

Łało nie zapowiada się najpiękniej, ale skoro los i KU ZSP przeznaczyli nam wczasy — pakujemy walizy i... jedziemy. Drogi studentów-wczasowiczów wiodą do Mikolajek i Karpacza, nad morze i w góry. Co tam będziemy robili?

Przy pomocy zdjęć z przeszłości nie trudno to sobie wyobrazić.



Opalanie się to najważniejsze „zajęcie” wczasowiczów. Nawet wycieczki piesze i kajakowe służą temu celowi. Ale i przy pochmurnej pogodzie spacer może się udać. Spróbujcie.



Nieudolni kucharze z akademickich stołówek powinni zgłosić się do pracy na wczasy wędrownie. Po kilku godzinach marszu smakuje każdy posiłek, niezależnie od jakości i warunków jedzenia.



Na improwizowanych zabawach suknie balowe nie obowiązują. Zastępuje je dobry humor. Możecie więc mile studentki ograniczyć swój bagaż do jednej walizki.



Nareszcie sami...

Z. GRZELAK

Jan Luty na wsi

(Opowiadanie z morałem)

Ja do was w takiej sprawie. Mój ojciec i chłopci żalą się na was, że okradacie ich, aby mieć na wódkę.

Podchmieleni nie mogli od razu wszystkiego pojąć.

— Luty, to wy także uwierzyliście tym kłamstwom, którymi oczernia się naszą mleczarnię? Ja osobiście mocno się zdziwiłem. Była u nas sześć razy komisja i żadnych bractw nie stwierdziła. A co do wódki, to przecież nie ma takiej ustawy, która by zabraniała pić, jest za to taki przemysł, który ją produkuje. My tylko po troszeczkę, przed śniadaniem.

Odwołajmy Jana w mleczarni stały się głośnie w Dymerskim Jan-

kumotrom w ukrywaniu ziemi, u maża za łapówkę podatki, przydziała za niewielką opłatą cegłę, cement i deski. Ona to sprzyja temu, że w GS mańka idą już w setki tysięcy, a co drugi pracownik tej placówki to nałogowy pijak i oszust, okradający chłopca gdzie się tylko da. Sparalizowana samotna wdowa, której zaplombowano stodołę z powodu niewykonywania obowiązków dostaw, powiedziała Janowi wprost: „Biednemu zawsze wiatr w oczy wieje”. Nawet na poczcie nie oszczędzają ludzi, kradnąc z co trzeciej paczki bardziej wartościowe artykuły.

Podczas tej wędrowki nie tylko cienie smutku padały na duszę bo-

— Przecież to aktywiści, mają za sobą bojową przeszłość. Tam jest ciężki teren.

Jan nie rozumiał dlaczego sądy prawie wszystkich chłopów różnią się od zdania pierwszego sekretarza. Po powrocie do Dymerskiego Jaru napisał długi elaborat i wysłał go do Komitetu Wojewódzkiego i prasy.

Tymczasem wśród chłopstwa zaczęły szerzyć się pogłoski o tym, że: „Lutych syn jest przy samym rzadzie, który mu dał specjalnie polecenie obrony wszystkich pokrzywdzonych na wsi, nikogo się nie boi i ma prawo wszystko zło krytykować”.

Za taką famą poszły czyny. Do chałupy Lutych przychodzili nieznani ludzie ze swoimi różnymi bolączkami: jakiejś babinie chciało odebrać ostatnią krowę — żywicielkę, innemu chłopu niewłaściwie wymierzono podatek gruntowy. Raz nawet przyszedł list ze spółdzielni produkcyjnej. Autorka pisała: „Czy już nad nami nie ma naprawdę żadnego opiekuna, czy już naprawdę mamy być pozbawieni praw. Jesteśmy jak boby na lodzie...” Okazało się, że ta kobieta po przepracowaniu 150 dniówek obrachunkowych w spółdzielni produkcyjnej otrzymała za pracę tylko 900 złotych i 100 kilogramów ziemniaków. Ona i jej dzieci chodzili przez całą zimę głodne i nieubrane. To oburzyło Lutego do żywego. Nazajutrz pojechał do autorki listu.

Przez cały dzień rozmawiał z członkami spółdzielni, którzy uzalali się na zaniedbania, kradzieże, nieumiejętność wspólnego gospodarowania i pijaństwo. Wracal do domu pieszo późną nocą.

Podczas drogi pociemniało. Naddziagała burza. Ogromne, fioletowe chmury wylały się zwolna z lasu, mknęły podłużne, szare obłoki. Dzienna spiekota przeszła raptem w wilgotny chłód. Jan skrył się w samotnej, pełnej siana szopie. Zaczęło padać, Jan leżał na wznak i myślał.

Nie ma chyba wsi, która by nie wysłała co najmniej jednego studenta na wyższą uczelnię. Czterdzieści tysięcy młodych — to potężna siła rewolucji. Znają oni przecież zasady i cele naszej walki, mają zaufanie środowiska, w którym wyrosli; dzięki nim rozkwitłoby lepiej życie, które w wielu za-

katkach jest jeszcze zagłuszone chwastami i kwaśniej.

Jan przypomniał sobie kolegów. Pierwszego od chwili przyjazdu do rodzinnego domu ojciec pogania jak parobka. Zapracowany od wschodu do zachodu słońca — wieczorami popija wino domowej roboty, a nocami wleczy się za dziewczynami po okolicznych wsiach.

Inny przyjechał do domu z dwoma walizkami książek. Obojętny na wszystko co się wokół niego dzieje całymi dniami czyta w sadzie wśród odorujących zapachów gruszy i jabłoni. Dobra matka bez słowa podsuwa mu kilka razy dziennie posiłki. Jedna z studentek gości u siebie kolegę robiąc z nim całymi dniami długie wycieczki.

Gdy Jan przyszedł do domu postanowił napisać listy do wszystkich kolegów-studentów i zachęcić ich by poszli w jego ślady.

*

Nasz bohater nie ustawał w walce, mimo że pewnego dnia zdarzył mu się przykry wypadek. Wracając z nocnej zabawy wiejskiej został tuż przed Dymerskim Jarem napadnięty przez kilku podchmielonych wyrostków. Czyjeś żelazne ręce okładały go, inne łapy knebłowały mu usta. Trwało to kilka minut. Po tym laniu ci sami ludzie zepchnęli go do stawu. Na szczęście niegłębokiego (w lecie kąpały się w nim gęsi, w zimie służył dzieciom jako sliżgawka).

Nazajutrz zdumionym rodzicom Jan tłumaczył tak.

— Bilem się na zabawie o najpiękniejszą dziewczynę w okolicy.

P. S.

Wszystko w tej opowieści z morałem jest prawdziwe: podhalańska przyroda, stosunki społeczne w Dymerskim Jarze, burza także była. Jedynie działalność Lutego została zmyślona. Jan spędził dwa miesiące w rodzinnej wsi, ciesząc się dobrym zdrowiem. Całymi dniami wylegiwał się na sianie popijając kwaśne mleko i nie wychylając nosa poza ojcowską chałupę.



rze jeszcze tego samego dnia. Nie wiadomo kto szepnął kierownikowi mleczarni o tym, że Jan Luty jest teraz „przy rządzie” i że ma zamiar sprowadzić taką komisję, która sprawę zbada dokładnie i zaprowadzi wreszcie sprawiedliwość.

W kilka dni po opisywanej wizycie w mleczarni Jan wyruszył znów do walki. Chodząc od chałupy do chałupy wysłuchiwał uwag, opinii, narzekania, suplik, krytyki na miejscowe władze. Padły zarzuty na pracę pierwszego sekretarza partii, przewodniczącego GRN, prezesa GS „Samopomocy Chłopskiej”. Mówiono o kłocie, która trzęsie całym Dymerskim Jarem i utracą wszystkich swoich wrogów — porządnych ludzi. Za jej to sprawą obniża się kulażom obowiązkowe dostawy, pomaga

hatera, były tam i jasne chwile. Oto chłopci pragnęli założyć spółdzielnię produkcyjną, ale bez zlodziejów i obiboków. Wielu nosi się z zamiarem wstąpienia do partii, ale dopiero po ustąpieniu obecnego sekretarza. Często powtarzane były zdania, które wbiły się mocno w pamięć Jana Lutego, a które warto zacytować: „Tam u góry na pewno chcą dobrze dla człowieka, ale nim ta myśl dojdzie do nas, to ludzie zmieniają ją na odwrot”.

Po zebraniu wszystkich chłopskich trosk i żalów Jan pojechał do sekretarza Komitetu Powiatowego. Opisał mu dokładnie sytuację i narzekał, jakie panują wśród chłopstwa. Sekretarz sprawiał wrażenie zdziwionego, czasami był zaskoczony, chwilami po prostu nie wierzył.



...słedzę wcierniam w domu i czytam książki. Bardzo piękne książki... Uczę się wskiego, choruję na Nicęę — choć wiem, że to beznadziejna choroba. Czasem marzę, aby ktoś od Was przyjechał do mnie i pugał na temat szczęścia, Juliana Sorel i Niciei. Głupie marzenie, prawda?

Przyjdziecie... U nas wiosna, kobiety sprzedają brzoia, a na uczelni jest wiele ludzkich, gorzkich i smutnych spraw. Wierzęcie mi, jesteście tu bardzo potrzebni i bardzo wycieczkiani! — zakończyła swój ostatni list do redakcji Katarzyna W.

Ale nie wiosenne baze i nie obietnica miłej pogawędki o Julianie Sorel sprawiły, że skorzystaliśmy z zaproszenia. Główną przyczyną wyjazdu stały się „czarke i smutne sprawy”, a jedną z nich jest właśnie sprawa autorki cytowanego fragmentu listu.

Jej „bagaż”

— Proszę bardzo — zgodził się proroektor. I za chwilę uprzejma urzędniczka wręczyła mi błękitną, teksturową teczkę. Rozkładał przed sobą na stole spory plik akt personalnych Katarzyny W.

Rok urodzenia? — 1933. Miejsce? — Nazwijmy je Z. — miasto, gdzie obecnie Katarzyna studiuje. Nie wyjeżdżała stąd na dłużej niż miesiąc — przez całe życie. A więc — prawie 22 lata w Z! Nie jest to bez znaczenia dla Katarzyny, jeśli weźmiemy pod uwagę całą z-towską specyfikę.

Odnosi się wrażenie, że ten spory, rozwijający się ośrodek wielkomijski leży jak trochę samotna wyspa wśród wiejskiego morza, że — głównego tonu nie nadają jeszcze miastu dwa wielkie zakłady przemysłowe i place budów, lecz raczej wszelkiego rodzaju instytucje, urzędy, dobrze rozwinięta sieć placówek usługowych i handlowych, kilka wyższych uczelni oraz — kościółeczki, kościółki i kościoły. (Niektórzy tu nazywają Z. — „polskim Watykanem”).

Główną arterią przepływa gwarny, miejsko-wiejski tłum przechodniów, upstrzony gdzieśniedzie sutanami i habitami różnych barw i krojów.

„Dwie starsze kobiety ubrane z chłopska (przyjechały odwiedzić córki przebywające w szkołach) — wchodzą do wykwintnej „Współczesnej”, gdzie wyrażeni kelnery mogą podać zwyczajny, niedrogi obiad, jak i najbardziej wyszukane danie — „specialité de la maison”.

„Wśród zieleni cichego skweru przysiadł na ławce młody człowiek w okulach. Rozwija z chustki chleb, masło, ser i posila się przyd daleką podróżą do domu. Lekarz „z terenu” — załatwia w Z. partyjną sprawę.

„Grupka eleganckich dziewcząt — „intelektualistek” z wyglądu — wprost z Collegium Biologicum śpieszy na „majowe”.

„Chłopiec w zetempowskiej koszuli z uwagą czyta barwny afisz na bramie Instytutu Katolickiego, zapowiadający odczyt o Claudel’u.

Z. wydało mi się miastem niespodziewanych kontrastów, gdzie na stosunkowo niewielkiej przestrzeni odcierają się o siebie natrętnie — zaołanie i postęp, prymityw i luksus, „podglądają się”, mieszają, przenikają — a wnioskowanie i kształtowanie opinii o ludziach i zjawiskach na podstawie przelotnych obserwacji, może tu bardziej niż w innych warunkach zaprowadzić na manowce.

Katarzyna W. — córka tego miasta — jest jedy-nączką w urzędniczej rodzinie zasiedziałych i zaśnie-czających mieszczan, którym nowe czasy w Z., prze-wartościowujące odwieczne pojęcia o rzeczach wiel-kich i małych, brutalnie naruszyły spokój i bogo-stan.

Co prawda ów spokój i blogostan nie były zupeł-ne i przed „nowymi czasami”. Zakłócał je długotrwały konflikt małżeński. Jeśli nie naszą rzeczą jest wcho-dzić w bardziej szczegółowe przyczyny i przejawy tego konfliktu, to jednak stwierdzić wypada, że Kata-rzyna nie chowała się w zupełnie zdrowych warun-kach rodzinnych. Ten typ „domowych nieporozumień” zostawia zwykle skazę na duszy dziecka.

...Znów pochylał się nad aktami personalnymi za-wartymi w niebieskiej teczce...

Wiosną 1951 roku Katarzyna uzyskała świadectwo dojrzałości w żeńskim gimnazjum, znanym powsze-chnie w Z. pod nieoficjalną nazwą „u Elżbietanek”. Uczyły się tam dziewczęta z d o b r y c h d o m ó w. Na świadectwie Katarzyny widnieją cztery piątki (m. in. z nauki o społeczeństwie, Polsce i świecie współcze-snym), reszta — czwórki, (także z religii). Dziewczy-na miała głowę do nauki.

Z takimi zadatkami zaczęła się starać o przyjęcie na pierwszy rok studiów. Wybrała zootechnikę. Dla-czego? Dziś szczerze, obok innych pobudek, wymie-nia i te: we władzach uczelni zasiadał znajomy rodzi-ców, profesor zootechnik, sąsiadka była jedną z asy-stentek tego wydziału, w dodatku na zootechnikę... szło wtedy mało kobiet. Ten ostatni fakt wcale nie był bez znaczenia. Katarzyna zbyt długo pozabawiona była „u Elżbietanek” męskiego towarzystwa, aby go sobie nie cenić. Ona — lubiąca zawsze zwracać na siebie uwagę otoczenia.

Niestety, nie została przyjęta. Bezsukutecznie rów-nież starała się dostać na medycynę w innym mieś-cie. Odpowiedziano, jak w Z. — „nie ma miejsca”.

Katarzyna była wówczas dość beztroską, roztrze-pa-ną panienką ze skłonnościami do egzaltacji i wybry-ków. Nad przyszłością, nad sensem życia nie zastana-wiała się poważnie. Odgłosy „świata zewnętrznego” przenikały do domu i „na pensję” sła biuśkami echa-mi. Nie mąciły zbyttno spokoju, nie zmuszały do moc-niejszego reagowania. Gdyby nie burze między rodzi-cami, świat byłby dla Katarzyny pogodną sielanką — z dobrymi stopniami i wyróżnieniami w szkole.

W aktach personalnych na uczelni można wyczytać ślady jakiejś opinii organizacyjnej z tamtych czasów: „politycznie niepewna”. Sama Katarzyna wyznała w którymś z dużo późniejszych listów do redakcji:

„...Nauczycielka podawała nam w szkole fakty — utworzenie KRN, działalność AK, GL — itd. Bez komentarzy. Pamiętam, jak wkuwaliśmy lw. „za-gadnienia”, nie rozumiejąc ich, nie wierząc w wie-le twierdzeń, które nam podawano, „Zagadnienia” były dla mnie przedmiotem nudnym, niepotrzeb-nym. Kolo ZMP w naszej klasie nigdy nie poru-szało kwestii, co nam daje „nauka o Polsce”... Zre-szta do ZMP nie należałam jeszcze wtedy...”

Z tym wszystkim nieprzyjęcie na uczelnię wywołało dziewczynie rozgoryczenie i uczyniło ją szczegól-nie podatną na komentarze d o m u.

W tych środowiskach dobrodziejstwa naszego ustroju kwituje się krzywym usmiechem, a niedogod-ności — choćby najbardziej uzasadnione — stekiem obelg. „Mówi się, że młodzież może obecnie obrać sobie taki zawód, jaki chce — a w praktyce robi się inaczej. Byłaś w szkole jedną z najlepszych uczennic, pracowałaś aktywnie w kole TPPr i cóż z tego? Czy jesteś winna, że twoi rodzice nie są robotnikami lub chłopami, że nie są i nie byli rewolucjonistami? Zresztą ci z „dobrym” pochodzeniem są przeważnie tak „ciężko myślący”, że aż wstyd pchać ich na wyż-sze studia...”

Nie nauczono Katarzyny „u Elżbietanek”, co to zna-czy: dyktatura proletariatu.

Skoro nie dostała się na żaden z wymienionych wyżej wydziałów, zapisała się do Instytutu Kato-lickiego. Z tym Instytutem do dziś łączą Kata-rzynę przyjazne, zażyłe stosunki. Ma tam sporo bli-skich kolegów, bywa na wykładach z literatury czy filozofii, urzekająco działają na nią gawędy profe-sora-staruszka, który lubi wspominać Boya, Wy-

spiańskiego, Mirlama. Niejedną noc przehuła w „Zle-nonym Baloniku”.

Instytut ma wiele uroków. Często przyjeżd-żają tu znani pisarze katolicy. Od czasu do czasu zechce odsłonić rąbką zawilych tajników swej wiedzy... sam ks. Kłósak. Organizuje się koncerty i odczyty zdolne zainteresować szerokie rzesze młodzie-ży. I młodzież ta przychodzi: intelektualści — ze szczerego zaciekawienia, snoby — dlatego, że w mieś-cie wśród pewnej części „sosyety” dobrze widziane jest „udzielanie się” na IK. A Katarzyna? Na pewno dla obydwu powodów.

Tu, w Instytucie Katolickim, „rozsmakowała się” w literaturze i sztuce, w abstrakcyjnym myśle-niu. Do gustu przypadły jej niektóre wywody perso-nalistów chrześcijańskich, ale ponieważ praktyki re-ligijne nigdy jej nie porwały (była dość wygodna i zawsze starała się uchodzić za nowoczesną) — za-częła skłaniać się w kierunku indywidualizmu, „kul-tu osobowości”. Dużo czytała z tych rzeczy, dy-skutowała z przejęciem, wznosiła i piękne słowa zawsze łatwo ją zapalały i wrpwały w ekstazę.

Niedawno w IK, na pewno w odpowiedzi na ar-tykuły drukowane w POPROSTU, szeroko omawiano kwestię szczęścia, historyczności postaci Chrystusa... Tu szybko podejmuje się dyskusje z przeciwnikiem światopoglądowym, umiejętnie mobilizuje posiłki w postaci autorytetów — ściągających nawet z innych miast. IK jest prężnym, o p e r a t y w n y m ośro-dkiem ideowym. Rozmawiałam na ten temat z człon-kiem Komisji Okręgowej ZSP. Zgadzał się ze zda-niem, że warto by „ośrodek światopoglądowy” i punkt ciężkości życia intelektualnego i kulturalnego pew-nych grup studenckiej młodzieży w Z. — przenieść z IK w inne miejsce. Wspominał o ciekawej działal-ności katedry marksizmu jednej z tutejszych uczelni. Można by od niej zacząć... Ale wszystko rozbija się o brak środków materialnych i... czasu. Tyle jest drob-nych spraw i sprawek do załatwienia...

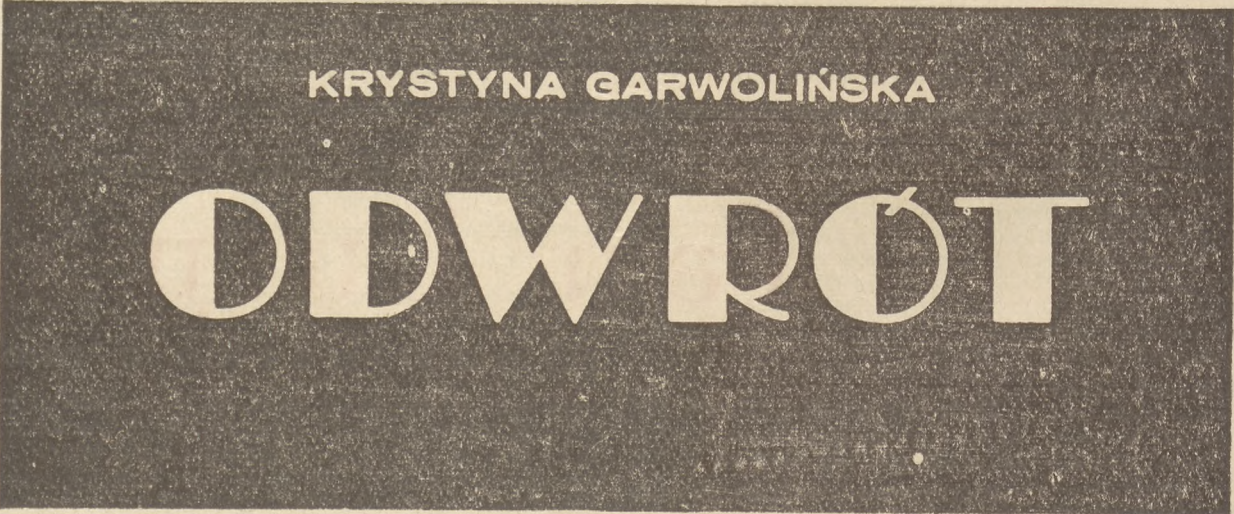
Przypominały mi się słowa jednego ze studentów w Z. — „Na naszych pozycjach światopoglądowych jesteśmy i tak zwyczajcami, nie ma co więc wysilać się na zbyt kosztowne i „pracochłonne” środki propa-gandowe. Co innego oni — w IK...”

Trzymajmy się jednak ciągle błękitnej teczki.

W szeregach

Z taką to dotychczasową edukacją życiową Kata-rzyna zaczęła studiować zootechnikę. Właśnie tak: zootechnikę!

Po roku spędzonym w IK ponownie złożyła papiery na ten „praktyczny” wydział. Co nią kierowało? Czy



rzeczywiście, ugruntowane zamiłowanie do pracy w hodowli, czy może myśl o intratnej posadzie po stu-diach? Nie proste i rozliczne są pobudki każdej de-cyzji. Nie one zresztą wydają mi się tutaj najważ-niejsze.

Katarzyna została przyjęta. Ten fakt stanowił dość jednoznaczną odpowiedź na niedawne komentarze państwa W.

W ich domu nie działał się wtedy najgorzej. Gdzieś na jesieni 1952 roku pani W. odchodzi od męża, o czym wnioskujemy z podania znalezionej wśród akt personalnych Katarzyny, a skierowanego do komisji stypendialnej przy wydziale. Data dokumentu — 15 stycznia 1953.

„Uprzejmie proszę komisję stypendialną o przy-znanie mi stypendium z powodu separacji rodzi-ców. Od sierpnia ub. roku pozostaję na całkowitym własnym utrzymaniu, mimo iż mieszkam przy ojc-u. Dotychczas zapewnił mi utrzymanie prace dorywcze i stałe udzielanie korepetycji. Obecnie okres sesji egzaminacyjnej i zły stan zdrowia — silna anemia — nie pozwalają mi na żadne po-boczne zajęcia. Z wyżej wymienionych powodów uprzejmie proszę o przychylne ustosunkowanie się do mej prośby”.

Stosunek rodziców do Katarzyny mógł wzbudzić zdziwienie u adresatów podania. Ale na marginesie prośby widnieje tylko czerwony dopisek: „**Wniosek — częściejowe!**”

Wyniki sesji zimowej były dla Katarzyny korzyst-ne. Zapowiadało się dobrze.

Teraz już coraz częściej mogła odczuć na sobie działanie praw i zwyczajów młodej ludowej uczel-ni. Dostrzegła ruchliwe, bujne życie społeczne (jak to zawsze ma miejsce zwłaszcza na pierwszych latach studiów), słyszała o ciekawych zebraniach ze-tempowskich. Czula się — jako nieorganizowana — jakby wyłączone z kręgu tych spraw. Osamotniona. A przeczuwała, że ze swymi zdolnościami i umiejęt-nościami mogłaby szybko pokazać się, nawet lepiej niż niektórzy „z kręgu”. Udzielał się jej ogólny, mło-dzieńczy zapal środowiska. Nie namyślając się wiele, zdecydowała: będę razem z kolegami.

Ów okres — także osobistych powodzeń (stypen-dium, chwilowy spokój w domu po odejściu matki, sukcesy w nauce) — sprzyjał optymistycznemu pa-trzeniu na świat.

I tak pewnego styczniowego dnia 1953 roku Zwią-zek Młodzieży Polskiej powiększył swe szeregi o no-wego członka: Katarzynę W.

Szybko i sprawnie zostały załatwione wszystkie for-malności, odbyło się zebranie koła, dziewczyna otrzy-mała ciemnowisnioną legitymację.

Szkoda, że tak mało przywiązuje się uwagi do pro-tokółowania naszych zebrań! Ileż dałabym w tej chwili, by móc odszukać protokół z owego zimowego zebrania!

W jaki sposób oceniała Katarzyna swoje życie? O co pytał ją koleczy? Jak rozwinęła się dyskusja?

Ale jeszcze ciekawsze byłoby znać uczucia i zapa-trywania tych, którzy Katarzynę do ZMP przyjmowa-li. Tylko nieliczna grupka zetempowców na zoo-technice miała życie równie — w istocie — lekkie, jak Katarzyna. Jakimi pobudkami kierowali się ci młodzi — o ciężkim nieraz, nabrzmiałym gorczą dziecinistwie, głosując za przyjęciem Katarzyny? Czy było to zaufanie, sympatia dla niej, chęć pomożenia koleżance? Czego spodziewali się dla organizacji?

Niestety, po przeszło dwóch latach nikt mi na te pytania nie zdoła dokładnie (i obiektywnie) odpowie-dzieć — łącznie z samą Katarzyną.

Zaraz w następnym miesiącu redakcja nasza zy-skała nową, aktywną korespondentkę — właśnie Kata-rzynę. Korespondencja, a nawet próbki literackie — to był żywioł Katarzyny. W pierwszym liście pisała m. in.:

„...Przed okresem sesji egzaminacyjnej koło ZMP i KU ZSP położyły specjalny nacisk na kolektyw-ne przygotowywanie się do psczędólnych egzami-nów. Praca kolektywna bowiem to jedno z osiąg-

nięć socjalistycznego podejścia do nauki... Pozna-liśmy prawdę i zrozumieliśmy jeszcze lepiej głę-boki sens słów Lenina: „Uczyć się, uczyć i jesz-cze raz uczyć...”

W marcowym liście dzieliła się z nami swym prze-życiem: koleżanka jej została przyjęta do ZMP na specjalnym zebraniu zorganizowanym po śmierci to-warzysza Stalina.

Płynęły jedna za drugą korespondencje, świadczą-ce o tym, że ich autorka tkwi w „nurcie organizacyj-nym”.

„26. VIII. 53... Przed dwoma dniami wróciłam z brygad żniwno-omlotowych z zespołu PGR — Je-gławka w powiecie Kętrzyn...”

„10.X.53... Został utworzony na uczelni między-wydziałowy zespół recytatorski... Kolo dramatycz-ne przygotowuje obecnie fragment sztuki Gorbato-wa — „Młodość ojców”...

„19.X.53... Na konferencji POP, ZU ZMP i KU ZSP naszej uczelni oraz uczelnianego koła TPPr ustalono bogaty program obchodu miesiąca przy-jaźni polsko - radzieckiej...”

„22.X.53... W dniu 21 bm. odbyła się masówka studentów naszego roku zwołana w celu zapozna-nia się z procesem biskupa Kaczmarka i jego kłiki...”

Nie było w tym czasie tygodnia, aby do redakcji nie przyniesiono koperty zaadresowanej wyraźnym, starannym pismem — z listem od Katarzyny. Czasem jedna przesyłka gonila drugą. Nie nadążaliśmy od-powiadać.

Nasza korespondentka zabierała kilkakrotnie głos w prowadzonej na łamach pisma dyskusji — „Jak się uczyć”, interesował ją problem zamiłowania do zawodu, rekrutacji na wyższe uczelnie, współpraca naukowców i studentów z terenem, z zakładami pra-cy. Nieraz Katarzyna szukała u nas pomocy inter-wencyjnej w drobnych kłopotach studenckich.

W pokażnej paczce jej listów, które dziś przeglądám uważnie, zaplątał się także wierszyk. Nosi on tytuł: „**Rozmowa z rodzicami!**”. Przytaczam fragmenty:

„...Nie było łatwo — nikt tego nie powie.
Ojciec wieczorem słuchał Ameryki,
Matka płakała nad tym co zginęło,
Życie szło dalej — życie pulsowało.
I ja widziałam rąk pracy wyniki...
O, ja widziałam — i serce się rwalo
Na nowe — lepsze,
To stare nie dało!
Gdy ktoś za sobą ma lat dziewiętnaście,
Przed sobą życie jeszcze niewiadome —
W lewo czy w prawo — w którą życia stronę
Iść — to jest problem.



Trudno przekreślić rodzinę, ołtarze,
Ciężko zapomnieć i ciężko zrozumieć,
Lecz — serce każe...
...Trzeba wiele umieć,
Aby rąk jednym podniesieniem w górę
Przeciąć to dawne — i na nowo stworzyć
Siebie samego. Lecz — to piękne, bracia,
Często człowiekowi — pomoże człowiek...
...Jest wiele dni — jest i wiele nocy
I wiele książek — dobrze przeczytanych.
Jest wiele dążeń jasnych, szczerzych, prostych,
Jest wiele myśli, które ciągle rosną,
Wiele problemów nie przemysłanych.
Trzeba przemyśleć, trzeba umieć więcej,
Bo to co umiem — to przecież nie wszystko.
Matko, ty nie płacz — ojcie, nie wyklinał.
Kochani — będę — będę komunistką!...”

W tym „manifestie światopoglądowym” Katarzyny ujmowała szczerze, ale to, co już wówczas razilo nas w jej częstych korespondencjach — to była pewna „łatwość”, płytkość w podchodzeniu do życia. Bez namysłu używała Katarzyna wielkich słów, obiecy-wała osobisty „przełom”, nazbyt wiele rzeczy wyda-wało jej się w tym okresie zupełnie proste, jakby sam ustrój nasz miał się różdzić czarodziejskiej, odej-mującej sprawom i ludziom ich często jeszcze nega-tywne cechy.

Być może i kolegom Katarzyny nie podobał się wówczas ten jej „nieskomplikowany światopogląd”... W każdym razie Katarzyna była wtedy zetempówką „świeżo upieczoną” i akcenty „hurra-optymizmu” mo-żna by zapisać na karb tego „nowicja u”.

Po wakacjach spędzonych m. in. w brigadzie żni-wnej wraca Katarzyna na uczelnię chętna „do dzia-łania”. Jest następny rok akademicki 1953-54. Pozna-liśmy już z wyjątków listów, jakimi sprawami wtedy żyła, co działało się na uczelni.

Nie zwierzała się tylko z tego, co zaczynało dziać się w jej sercu... I dopiero po roku jedna z koleża-nek przysłała wiadomość. (Nadała jej co prawda „kształt opowiadania”, ale pod „figurą literacką” sna-dnie dopatrzylismy się Katarzyny):

„...Miłość przysła jak zwykle niespodziewanie, wnosząc szczęście i niepokój w życie; szczęście z tego, że się pokochało i że się jest kochanym i z tego, że w wielkim świecie tak dobrze jest we dwo-je. A niepokój...”

Niepokój i udręka miały inne, głębsze podłoże. Mężczyzna, któremu oddała siebie, był człowie-kiem znanym. Z całą świadomością tego poddała się tej miłości. Początkowo była szczęśliwa. Potem szczęście przysło. Zginęło na świadomość kradzio-nej miłości, że spotykać się mogą tylko przy drzwiach zamkniętych, że nie wolno na cały świat wykrzyzczeć swego szczęścia.

Ale to nie było najważniejsze. Cierpiała dlatego, że nie mogła znaleźć odpowiedzi na pytanie — czy jej miłość jest zła czy dobra?

— Boję się — mówiła — że postępuję wbrew te-mu, co mi nakazuje moje sumienie, moja organi-zacja. Moja miłość jest zła, tak mówią ludzie, ale czy na pewno, czy naprawdę? Jestem zetempów-ka... Czy mi nie wolno... Nie wiem, nie już nie wiem... Czasem mam wrażenie, że wszystko jest w porządku. Kocham i jestem kochana. Wtedy nie obchodzi mnie sąd ludzi. Ale czasem zdaje mi się, że hańbię to, co było moim życiem — moją ideę. Odpinam wtedy znaczek zetempowski, nie widu-ję się z nim — pracuję — i kocham.

Ale tak dłużej nie mogę, ja muszę nareszcie wiedzieć: czy każda miłość jest dobra?...”

Na tak bezwzględnie postawione pytanie bóg-teo-retyk potrząsał nad Katarzyną cytalem ze swego kla-sycznego dzieła: „Nie pożądaj żony bliźniego twego...” Mieszkańcy Z. — wiejski praktycy — ostrzegali: „Hań-bą dla panny z porządnej rodziny jest żyć z mężczy-zną bez sakramentu!” Harris i inni p o g o d n i auto-rzy namawiali: „Carpe diem!”.

Czy zresztą można dać tu jednoznaczną odpowiedź — w ogóle? Bez analizy każdego konkretnego wypad-ku?

Czyż podjęcie takiego, jak Katarzyna, stosunku nie jest jednocześnie koniecznością decyzji, której trzeba dokonać przede wszystkim samodzielnie?

Jaka będzie ostateczna decyzja Katarzyny? Zerwać z nim? A może zerwać... znaczek zetempowski?

Tak czy owak — miłość ta podzialała na dziew-czynę niszczącą, jak narkotyki. Nie łatwo bowiem, gdy się ma dwadzieścia lat — godzić bez uszczerbku dla sił fizycznych i moralnych intensywny tryb życia stu-denckiego, dodatkową pracę zarobkową, działalność organizacyjną, konflikty rodzinne i „nieokreśloną mo-ralnie miłość”.

Katarzyna nie miała zwyczaju zwierzać się niko-mu ze swych strapien, prosto, szczerze, bezpośrednio. Nie ufała zbyttno ludziom. To dopiero później, gdy uznała, że upadek stał się zupełny, zaczęła zachowywać się demonstracyjnie. „Nie potrafię kochać się platonicznie. Zresztą czy warto? Życie jest takie krótkie... Korzystajmy ze wszystkich jego uroków!” — wyznała mi niedawno, rozkosznie przeciągając się w fotelu.

Dalsze losy

Mam wrażenie, że podczas tych parędnastu miesięcy 1954 roku szczególnie wyraźnie zbiegły się z sobą i zaciążyły na sprawie Katarzyny dwie rzeczy: z jed-nej strony błędy i słabości pracy wychowawczej prze-ciętnego koła ZMP w tamtym okresie, błędy i uster-ki niektórych instytucji mających do czynienia z wy-chowaniem i kształceniem młodzieży — te, jednym słowem, wypaczenia, z którymi usiłnie WALCZYMY, które szczególnie wyraźnie ujawnił II Zjazd ZMP, z drugiej strony — osobiste cechy Katarzyny, pozosta-łości jej drobnomieszczańskich odruchów, mentalności, nabytków IK-owskich, a także — niestanny wpływ drobnomieszczańskiego środowiska.

Ale spróbujmy uporządkować fakty. Czas jest nie tylko najlepszym lekarzem. Czas jest również dosko-nalym rewizorem.

Po pewnym czasie Katarzyna zaczęła krytyczniejsz patrzeć na otaczające ją sprawy i domagać się od-powiedzi na ogromną ilość pytań.

To naturalne „pogłębienie” łączyło się z pracą orga-nizacyjną, która, mimo swych braków, wzbogacała ją i rozwijała.

Życie na uczelni toczyło się swoją koleją. Tworzy-ły się i upadały różnego rodzaju zespoły artystyczne. Według „prawidłowości dziejowej” zmieniały się za-rządy i komitety, odchodzili i przychodzili przewodni-czący, kruszył się stary aktyw, wyrastali nowi przy-wódcy.

Katarzynę rychło dojrzano wśród „mas” i wciągnię-to do poważniejszej pracy w ZSP, we władzach. Da-ła się poznać jako żywa, zdolna, pełna entuzjazmu i inicjatywy dziewczyna. Pasjonowała ją sprawa kulta-ralne. Znalazła dla siebie odpowiednie miejsce w or-ganizacji.

Listy Katarzyny do redakcji stały się rzadsze, ale za-to — jak lubią u nas mówić — bardziej „problemo-we”. Kiedyś zadawała ją szybkie, treściwe, ale powierzchowne informowanie o zdarzeniach — teraz starała się zastanawiać nad ich przyczyną i skutkiem. Widać było intensywną pracę myślową, pochłanianie literatury pięknej.

Szukała odpowiedzi na różne ostre pytania. Już nie wystarczało jej kierowanie się tylko pobudkami serca, młodzieńczym zapalem, nadającym wszystkie-mu różowe barwy — tym, co było pierwszym mo-torem jej społecznej działalności.

Niestety, trzeba powiedzieć, że (jak to aż nazbyt dobrze wiadomo) — szczerze rozmowy, dyskusje, bez-pośrednie i życzliwe kontakty — wszystko to nie było częste w naszej studenckiej organizacji zetempow-skiej, zwłaszcza na długo przed II Zjazdem.

Załatwić komus przeniesienie z jednego pokoju studenckiego do drugiego, „zanalizować” wyniki se-sji, zając się zorganizowaniem nowego zespołu ta-necznego — to jeszcze na sily koła, ale „załatwić” człowiekowi po stokroć ważniejszą sprawę: pomoc w rozumieniu naszej ideologii, kształtowaniu swia-topoglądu — jednym słowem — uprzątnięciu so-bie celu i sensu istnienia na ziemi — to już cięższa sprawa. Trudno się zresztą dziwić rówieśnikom Kata-rzyny, że — nie pochodząc sami z tak bardzo drobnomieszczańskiego środowiska — nie potrafili wczuć się w powiklaną mentalność koleżanki. Zda-rzyło się, że kierownictwo wakacyjnego wczaso-kursu zetempowskiego wydało Katarzynie lakonicz-ną, ale słuszną i chyba mądrą opinię. Któż jednak na uczelni zainteresował się tą opinią, kto ją wziął do ręki?

Cisnie się pod pióro słowo „gdyby”... Gdyby w „instancjach” częściej i uważniej przeglądano opinie i charakterystyki ludzi, uzupełniano je u kom-petentnych osób, nie mówiąc już o takim „luksusie” — jak częste kontaktowanie się z samym opiniowa-nym — to może wyciągnęłoby z malej notatki jak-ieś twórcze wnioski do postępowania z Katarzyną. Jak bowiem fakty wskazują, wiele jeszcze brakowa-ło jej do tego, by zasłużyć na nazwę się: aktywist-ka.

Błędy koła zetempowskiego i Katarzyny z instan-cji to jedna strona medalu.

Drugą — utrudniającą pracę z Katarzyną, przy-jacielskie zbliżenie się do niej — to osobiste cechy tej dziewczyny.

Trudno mi było znaleźć na uczelni koleżanki i ko-legów, którzy wyrażaliby się o Katarzynie z serdecz-nym ciepłem. Zetknęłam się raczej z rzeczowym „re-ferowaniem” jej zalet i tak samo rzeczowym „stresz-czaniem” wad: miała zbyt wygórowane ambicje i trud-no jej przychodziło współżycie w kolektywie, mało jej przewnoważona, nadwrażliwa i nerwowa, z dużymi skłonnościami do pozerstwa i wykrotów...

Wyrażano się także dość sceptycznie i o „moral-ności” Katarzyny. „Od pewnego czasu szuka sobie przeważnie żonatyh, starszych panów z miasta” — dodawali moi rozmówcy, jej koleczy.

Katarzyna nie jest może ładna, ale dość interesu-jąca. Szybko z dziewczynki stała się na uczelni da-mą. Ubiiera się trochę wyzywająco, lecz ze smakiem, dyskretnie maluje usta, z wdziękiem zakłada nogę na nogę i niedbale zapala papierosa. Może się po-dobać. A trzeba sobie szczerze powiedzieć, że te wszystkie zewnętrzne walory wcale nie pomagają w „upolitycznianiu i wychowywaniu zaołowanej że-nskiej jednostki”, szczególnie, gdy rolę „duchowych przewodników” biorą na siebie „działacze” pici mę-skiej. (Tacy przeważnie stawali na drodze Katarzy-ny i problem: „dobra czy zła miłość” — podobno nieraz dręczył dziewczynę w stosunku do zmienia-jących się „obiektów uczuć”). Nie są to jednak sprawy — w losach Katarzyny — wagi największej.

Ale przytaczam ową opinię z kursu, o której wspo-minałam:

„Katarzyna W. ma dużo inicjatyw, która do-brze pokierowana może dać w pracy duże wyni-ki. Jednak mało pracuje nad sobą. Jej wypowie-dzi w szeregu dyskusyjnych świadczyły o bardzo słabym poziomie politycznym. Mało czyta litera-tury marksistowskiej. W samodzielnej pracy mo-że popełniać błędy. Praca w kolektywie bardz-w wskazana. Interesuje się czytelnictwem i pracą na tym odcinku mogłaby jej dużo pomóc w pod-niesieniu własnego poziomu i wyrobienia ideolo-gicznego”.

Do tego wszystkiego dopisać wypada jeszcze jed-no zdanie.

W domu Katarzyna miała znów poważne przejęcia rodzinne tak, że powstała nawet myśl o rzuceniu studiów. Zwierzyła się dziekanowi — człowiekowi

blisko żyjącemu z młodzieżą, mądrymu, życzliwemu wychowawcy, ale tak zawałonemu „bieżącymi sprawami”, że trudno by wymagać od niego częstszego kontaktu z każdym z dwięćdziesięciu studentów na wydziale. A tym bardziej z Katarzyną, której sprawy wymagały wiele zachodu i cierpliwości.

Mimo to dziekan znalazł czas i udał się do rektora...

„Trzeba dziewczynie pomóc, dać całkowite stypendium i dom akademicki, niech wreszcie wywozi się z tego zapaskudzonego domu”. — Tu widział główną przyczynę zła, bo tyle powiedziała mu Katarzyna. Poparł to również jeden z aktywistów, solidny, mądry chłopak.

Zajrzymy raz jeszcze do błękitnej teczki...

Zachowało się drugie podanie Katarzyny złożone w komisji stypendialnej. Data: — 5 października 1954 roku:

„...Uprzejmie proszę o przyznanie mi całkowitego stypendium. Mimo iż rodzice moi pracują, pozostaje wyłącznie na własnym utrzymaniu. W ub. roku akademickim pracowałam zarobkowo w TWP, na skutek czego lamalam dyscyplinę studentów. W b. roku akademickim nie mogę pracować zarobkowo, ponieważ pracuję w KU ZSP. W wypadku nieprzyznania mi stypendium nie będę mogła studiować, gdyż nie pozwolą mi na to warunki materialne”.

Na dole podania widnieje dopisek ółwkiem: „Negatywnie — z powodu wystarczających warunków materialnych (2607 zł. miesięcznie — rodzice)”.

Czy to dziekan nie mógł dopilnować ostatecznie sprawy, czy komisja nie zadala sobie trudu bardziej wnikliwego jej rozpatrzenia i serdecznej rozmowy z Katarzyną — trudno teraz powiedzieć. W każdym razie kogóż nie zdziwiłby fakt i komu nie wydawałoby się „podejrzane”, że z ponad 2 tysięcy, które zarabiała rodzice — córka nie dostaje nawet tyle, ile wyniosłoby stypendium... (Dziewie bywają stosunki w poniekłórych „komórkach rodzinnych”).

Przypuszczalnie jednak taki obrót sprawy stypendium wpłynął jakoś na zapatrywania Katarzyny.

Stało się z nią to, co w pewnych wypadkach można przewidzieć, ale co zawsze jest bardzo przykre: „patrzac, widziała wszystko oddziennie...”.

O ile niedawno jeszcze tyle rzeczy było prostych, łatwych i — jak już wspominałam — z entuzjazmem przyjmowanych, o tyle teraz, po tym poważnym niepowodzeniu nastąpiło „odchylenie” w drugą stronę. Świat wydał się Katarzynie zupełnie inny, bardziej złożony, zawiły i... czarny. Zaczęła nań patrzeć aż nazbyt krytycznie: w przemówieniu aktywisty, w którym wczoraj jeszcze widziała najczystszy „plomień idei” — dziś zobaczyła tylko frazes; pod czerwona flagą udrapowaną na zabytkowej kamieniczce wykryła pęknięty mur.

I to jeszcze: o ile przedtem dyskusje Katarzyny z rodzicami były bezkompromisowe, nagle i hałaśliwe — prawdziwe wiosenne burze, o tyle teraz — często milczała i raczej słuchała. I o dziwo! Niektóre kołtuńskie wyrzekania — niedawno jeszcze odporane — na nowo wydały się jej wcale nie takie głupie.

Dawało o sobie znać życie z jego wielkimi trudnościami i Katarzyna musiała wybierać — między łatwiejszym a ciężkim. W istocie: całe życie człowieka, który zna obie możliwe drogi, oba możliwe kierunki — jest wybieraniem.

Czas jesienny

Mimo odmownego rozpatrzenia nowej próby o stypendium — Katarzyna nie odeszła z uczelni. Podjęła chyba znów dorywczą pracę zarobkową, co wnosze stąd, że nazwisko jej zaczęło się odtąd pojawiać na „smutnych” wykazach komisji dyscyplinarnej w hallu rektoratu. Ale może się myłę?

Tej jesieni — późnej jesieni 1954 roku — przyszło od Katarzyny niewiele listów: jakieś beznamiętne sprawozdanko z konferencji wybornej, suchy artykuł o gazetkach ściennych i coś tam jeszcze. Nie budziło to co prawda specjalnej uwagi, ale też nie było powodem do niepokoju. „Ot — myślał każdy — trzeci rok studiów to nie fraszka, tym bardziej, gdy ktoś aktywnie pracuje w organizacji...”

A tymczasem ta jesień była dla Katarzyny bardzo niespokojna: i odmowa stypendium, i konflikty z dyscypliną studiów, i otwarty problem „nie dobrej miłości”... Doszedł jeszcze kłopot z pieniędzmi, które zbierała na coś tam od studentów, a które gdzieś „wsiąkły”. Dziś nikt już nie potrafi dokładnie orzec, jak się ta sprawa skończyła, ale są i tacy, którzy twierdzą, że Katarzyna pieniędzy nie zwróciła, chociaż to c o ś (wycieczka, kino, czy teatr) nie doszło do skutku.

Wszystkie te sprawy i sprawki wytworzyły wokół niej niezbyt przyjemną atmosferę.

Życie organizacyjne na wydziale bardzo tej jesieni przybladło. Jeszcze nie podwierała kół zetempowskich dyskusja przed II Zjazdem. Osłabła aktywność dawnych zapaleńców — pierwszy i drugo-roczniaków (zjawisko dość często spotykane), „żelazny” aktywny ogólnouczelniany był już przemęczony i lekko „zrutynizowany”, w dodatku — tak gdzieś do sesji zimowej — rzadko kto decyduje się „rozwinąć szeroko skrzydła” w pracy wśród „mas”. Na razie aktywiści trzymali tylko ze sobą, a ich kontakt „z terenem” odbywał się przeważnie za pomocą wydawania „okazyjnych” poleceń, spadających na upatrzone „ofiary” w postaci nagłych „bojowych zadań”.

Na dodek grup, w której Katarzyna studiowała przez poprzednie lata — w trzecim roku akademickim rozpadła się. (z przyczyn „technicznych”, których nie warto przytaczać). Zebrano nowy zespół ludzi, dość przypadkowy — kierując się miejscem zamieszkania studentów. W grupie Katarzyny znaleźli się ci z roku, którzy mieszkali poza domami akademickimi — „z mamusią i tatusiem”, bądź na stacjach w mieście, tzw. „śmietanka” — w większości dobrze sytuowana i dość beztroška. W grupie tej zaczęła obowiązywać zasada: „Nie mieszaj się do moich spraw, a ja nie będę mieszać się do twoich”. Grunt — to wzajemna lojalność i tolerancja! Wysłuchałeś wykładu — żegnaj!

Każdy żył poza uczelnia swym własnym życiem, ze swą dobraną „paką”. I nie można powiedzieć, żeby to życie było nudne i ubogie. W grupie Katarzyny znajdowało się wielu zdolnych, wesołych i kulturalnych ludzi, dobrych studentów, młodych naukowców...

Tyle tylko, że za wszelką cenę pragnęli spokoju w dziedzinie „wewnętrznych” spraw. I mieli „spokój”: aktywu w grupie nie było, ten z wyższych „szczebli” rzadko zstępował „na niziny” grup, a jak już zstąpił — to nie bardzo umiał podejść do tego typu ludzi, nie obeszło się nawet bez poważnych gaff. Co do Katarzyny, to już dawno nabrała ona nieco pogardy dla „mniej lojalnych i ciężiej myślących” kolegów. I tak życie zaczęło toczyć się wygodnym torem. Wolne od zetempowskich zebrań, „spraw personalnych”, nadprogramowych obowiązków.

Wyzwoliły się w uczestnikach tego życia drzemiące uczucia drobnomieszczańskie: wygodnictwo, separowanie się od innych, bezruch. Koncepcja „nie wtrącania się do aktywnego życia” nie była obca i Katarzynie.

Przy sprzyjających okolicznościach poddała się naporowi „cichego” otoczenia, A jednak — znamy ją

przecież — była z natury za aktywna, aby przynajmniej nie myśleć o organizacji. Przynależność do niej, choć krótkotrwała, zaszczepiła mimo wszystko, „kapkę” odpowiedzialności.

Tyle tylko, że rozmyślania Katarzyny o sprawach ZMP odbywały się w szczególnych warunkach osłabienia pracy na uczelni. Nie było z kim poważnie i głęboko podyskutować. Nie było siły samemu rozproszyć wielu wahań i wątpliwości, które nagle zaczęły się rozkrzewiać jak chwasty na jałowym gruncie.

A w sąsiednim pokoju mieszkali rodzice, (którzy znów się zeszli) w swym ziemniennym „credo” i rądiem nastawionym na Amerykę. W Instytucie Katolickim organizowano odczyty. Można tam było pogadać ze starymi, życzliwymi przyjaciółmi... Były kuszące — z dawnych lat — książki, niełatwo dostępne w publicznych bibliotekach...

W styczniu tego roku — kiedy na dobre rozwinęła się przedjazdowa dyskusja o ZMP — dostaliśmy od Katarzyny krótką serię listów — wynik jej rozważań i przemysleń na temat pracy organizacji.

Dyskusja przedjazdowa była szczerą, wszyscy wypowiadali się ostro i otwarcie, bez zakłamań — cała atmosfera życia społecznego kraju sprzyjała tej szczeroci i ostrości krytyki. Pełne zaufanie polityczne do ludzi, którzy nie są naszymi wrogami — tak silnie postulowane nieco później przez III Plenum — było podstawą tej dyskusji.

Listy Katarzyny także były szczerze i ostro krytykowały stan rzeczy. Ale to cośy w nich j e s z c z e przeczytali — zaskoczyło nas bardzo.

Ta dziewczyna zdawała się kompletnie zapominać o rzeczach niedawnych i zupełnie nie dostrzegać innych, oczywistych. O, jakie wymownie znać było ciągnięcie Katarzyny ku środowisku, z którego dopiero co — wydawało się — uciekla.

„Organizacja zetempowska jest organizacją polityczno-wychowawczą — pisała nam. — I to jest jej cały bład. Polityczną!

„Od 39 roku żyjemy w sferze zagadnień politycznych. Po tylu latach mamy jej dość. I dlatego nie dźwicie się, że wolimy „Pustelnik Parmeńską”, czy „Kuzynkę Bielek” od najlepszego odczytu na temat remilitaryzacji Niemiec.

Powiecie: — No dobrze, ale odrzucając politykę dajemy tym samym dostęp do młodzieży siłom wstecznym, nie nauczymy jej rozpoznawać, gdzie prawda, gdzie kłamstwo.

Towarzysze, czyż tylko tą drogą wychowuje się komunistów?

Organizacja zetempowska jest także organizacją wychowawczą. Niestety, o tym drugim założeniu często zapominamy. Pierwsze przerosło tak, że zasnosiło nam najistotniejsze cele. Bowiem nie polityka — a wychowanie.

Młody człowiek jest wrażliwy na piękno, a ponieważ jest wrażliwy, jest głęboko moralny. Trzeba jego wrażliwość wydobyć na światło dzienne, zaostriżyć, wyszlachetnić.

Młodziś wychowana na Mickiewicu, Puszkinie, Bałzaku, czy Aragonie, młodzień, która słucha Chopina czy Czajkowskiego, którą nauczy się patrzeć na Matejkę czy Guttusa — potrafi odróżnić prawdę od kłamstwa, rzeczy złe i zbrodnicze — od pięknych i wzniosłych.

Za dużo jest u nas ludzi, którzy słuchanie po pracy słowików i zapach bzu uważają za wymysły drobnomieszczańskie, którzy cuda naszej literatury czytają w skrótach, bo nie mają czasu. Nie nauczono ich reagować na piękno.

I to się mści.

„Uczy się nas w organizacji patrzeć na wszystkich przez pryzmat frazesów, chce się uczynić z nas chodzące encyklopedie „Nauki o Konstytucji” — odebrano wloty, upadki, namiętność każdego młodego.

Człowiek, który raz w życiu p r z e z y ł Żeromskiego, nie pozwoli, by karty jego książek zostały poszarpane bombami. Nigdy!

Wychowanie polityczne — to nie propaganda polityczna.

ZMP powinno wychowywać młodzież na etycznych, zdrowych moralnie ludzi, powinno pomagać rozwiązywać trudne problemy, ciężkie do rozwikłania sploty, wskazywać szlachetne cele w życiu — i nauczyć kochać życie.

Czyż umiłowanie życia — to nie walka o pokój?

Młodzież powoli obojętnieje i tępieje.

„Za często podajecie nam życie w formie przykładów, w których bohater po jakichś tam przemianach staje się ofiarnym bojownikiem o socjalizm. Pomaga mu w tym ZMP — i wszystkim dobrze się kończy. Oglądamy się wkoło siebie i widzimy ludzi, których sprawy się komplikują, którzy chcą prawdy — i nie mogą jej znaleźć, widzimy entuzjastów, którzy się zalamują...”

Dla organizacji zetempowskiej w 90 proc. ważniejszą jest sprawa planów zebrań, czy referatów pseudo - światopoglądowych niż człowieka, który się błąka.

„...Jest u nas w ZMP nie do pomyślenia przewidzieć w planie dyskusje, które by trochę odbiegały od linii. Mówić o Stendhalu, pięknie muzyki Chopina, Sienkiewiczowskiej „Trylogii”, zachwycać się egzotyką Fiedlera — i to bez aspektu politycznego — to przecież odchylenie od linii...”

Z każdym prawie zdaniem tego listu chciałoby się dyskutować (zaledwie w paru wypadkach autorka ma rację). Ale zwróć szczególną uwagę na niektóre tylko sprawy.

Jakże łatwo przekreśla Katarzyna swoją pracę i korespondencję o politycznych akcjach koła zetempowskiego! Jakże szybko zapomniiała o swoim własnym, „łatwym” i „hurra - optymistycznym” okresie w ZMP!

Ale skąd w wywodach Katarzyny ta niechęć do POLITYKI, to rozdzielanie polityki i kultury, ta apoteoza „odpolitycznionej” sztuki? Jakże wyraźnie odkrywamy znany frazes drobnomieszczański o „apolityczności”.

Skąd w wywodach Katarzyny taki przedziwny sylogizm: „Młody człowiek jest wrażliwy na piękno, a ponieważ jest wrażliwy, jest głęboko moralny”? Musielibyśmy „tylko” uzgodnić w tym sylogizmie pojęcie „moralności”. A przecież Katarzyna wie dobrze, jak trudno o pełną jasność tego pojęcia...

Katarzyna jest istotą oczytaną, inteligentną i wie przecież równie dobrze jak my, że „apolityczność” nie jest czymś narzuconym przez Zarząd Główny ZMP, ale jest cechą, atrybutem większości odcających nas zjawisk społecznych. I jest tak — czy to się nam „podoba” czy nie.

Katarzyna wie również, że tom Słowackiego i tom Stalina — to nie są książki, z których lektura jednej wyklucza lekturę drugiej. Z konieczności skrótów posłuszne się tym może uproszczonemu przypomnieniu, że to właśnie polityka Stalina uchroniła przed stołem poezję Słowackiego. A przed egzekucją — wiele tysięcy młodych, którym Katarzyna zaleca dziś odpolitycznienie Fiedlera.

Jakże dalekie postępy uczyniła w świadomości Katarzyny mentalność „widzącego wszystko oddzielnie” mieszczanina!

Ale kiedyśmy czytali listy Katarzyny, zaniepokoiło nas jeszcze coś: c z y n i e znajduje się o n a w t y m s t a n i e r z e c z y, k i e d y c z ł o w i e k d o w ł a s n e j m a r n e j p r a k t y k i — d o r a b i a t e o r i e... W takich sytuacjach fałszywe uogólnienia rodzą się jakoś masami — byle poprzeć własny „światopogląd”.

Myślę, że znane Katarzynie obrady II Zjazdu ZMP także jej wyjaśniły szereg wątpliwości. Stało się już ostatecznie jasne, że bijemy się w ZMP o człowieka wysoce kulturalnego, wrażliwego na piękno, ze dyskusje o Aragonie i Gałczyńskim, którego tak lubi Katarzyna, mają „inoprawne miejsce wśród wszystkich innych, wśród dyskusji o tematyce bezpośrednio politycznej — ale dyskusji twórczych, szczyrych, ciekawych, bez frazesów.

Gdybym miała określić najkrócej sytuację, w jakiej znaleźliśmy się po II Zjeździe, powiedziałabym tak: wszystkich przed nami, roboty masa, ogromna ilość nowych spraw, zagadnień, problemów dotąd pomijanych. No i kwestia inicjatywy, samodzielnego — bardziej niż dotąd — myślenia każdego z nas.

...Tak więc: nie mniejsza i nie łatwiejsza praca, ale — więcej jej i głębsza, i stąd trudniejsza. Do tej pracy trzeba nowych żołnierzy i nowych oficerów.

„...U nas wiosna...”

Wiemy wszyscy, że zanim ruszono do tej nowej, lepszej, mądrzejszej pracy — upłynęło wiele czasu i do dziś nie na wszystkich jeszcze wydziałach ocknięto się z marazmu, a nawet z dezorientacji.

O takim „bezladzie” w pracy zetempowskiej na swym wydziale donosi w połowie lutego i Katarzyna. Ona — przed którą stoi teraz bardziej niż kiedykolwiek możliwości aktywnej pracy właśnie kulturalnej, właśnie „zaszczepiającej piękno”.

Ale Katarzyna pisze:

„...Wszyscy chodzimy swoimi ścieżkami. O ZMP i jego pracy — u nas się nie mówi. Nie ma aktywu i nie ma właściwie ZMP.

I wiecie co? Jest dobrze! Stanowimy bardziej zwartą pakę, zniknęły organizacyjne kłopoty, nikt nie wlaży w sprawy innych, jest cicho i spokojnie...”.

Katarzyna nie jest jednak definitywnie zdecydowana na powyższą diagnozę. Dodaje:

„... Na przykład jeden z kolegów — pil, pil, oblał sesję — i koniec. To przeszło bez echa. Nikt się w to nie mieszał i mieszać nie będzie. To jego własna sprawa. Tylko, że... chłopca trochę szkoda.

„...Myślę, że jednak warto by zainteresować się objawami obojętności i ciszy na naszym roku. Może ktoś z Was to robi, a może ktoś z naszych...”

„...Mimo wszystko obchodzą mnie trochę losy ZMP na naszym roku”.

I cóż więcej dodać o Katarzynie?

Chyba tylko jeszcze zacytować jeden list, ten sam, którego małeńki urywek przytoczyłam na samym początku reportażu:

„...Życie społeczne, życie innych ludzi, ich sprawy i bolączki — to wszystko stało mi się zupełnie obojętne i obce. Odsunęłam się od spraw tzw. organizacyjnych — z głębokim przekonaniem, że czynię dobrze.

W niedługim czasie ma się u nas odbyć zebranie zetempowskie na roku. Chcę na nim wystąpić z ZMP. Czekam na tę chwilę z utęsknieniem, kiedy zdam swoją legitymację i przerwę ostatecznie zapory łączące mnie z tamtymi sprawami i tamtymi ludźmi. Nie pozostanie mi oprócz dość zresztą „wstydliwego” osadu z tych moich 2 lat w organizacji.

Moja decyzja, wierzę, nie przyszła mi łatwo. Ale przyszła — i jestem z tego trochę dumna. Nie myślę, że z tego, że się na to postanowiłam zdobyć! Nie! Z tego, że nareszcie zrozumia-



rys. Jery Cwierznia

łam, iż moja (i wielu, wielu ludzi) droga jest błędna. Jest niesłuszna. Więcej — jest szkodliwa.

Powiecie — to winą tych, którzy siedzą w tzw. „aparacie”. Nie podobnego! To wina samych założeni”.

Taki jest ostatni list do redakcji naszej korespondentki Katarzyny W. Tak ostatecznie zdecydowała swój o d w r ó t.

Początkowo, podczas zbierania materiału do tego reportażu, mimo woli sama dawałam się zasugerować niektórym argumentom tej dziewczyny. Wydawało mi się, że jej życie było ciąglym szukaniem prawdy i pasmem niepowodzeń wytworzonych przez konkretne warunki w jakich się znalazła. Ale w miarę narastania faktów, z jej indywidualnego losu wyłoniła się jakaś prawidłowość, jakaś konsekwencja. Tej prawidłowości, tej konsekwencji rozwoju wydarzeń na imię — drobnomieszczańska mentalność, drobnomieszczański stosunek do życia, drobnomieszczańskie pobudki postępowania.

A jedną z cech takiego sposobu myślenia jest subiektywistyczny stosunek do zjawisk, uogólnianie ich i ocena według takich kryteriów, które w danej chwili są najwygodniejsze lub wynikają z czysto uczuciowego, emocjonalnego — jak u Katarzyny — widzenia świata.

Istnieje w naszym kraju, kraju gorących serc i potężnych czynów, jakaś ogólna prawidłowość rozwoju młodych ludzi, obejmująca wszystkich prawie bez wyjątku, obejmująca także Katarzynę. Tę prawidłowość nazwałabym naturalnym ciążeniem ku nam, do spraw, które tworzymy. Do naszej ideologii. Nie sposób dziś mieć młode serce i patrzeć obojętnie na to, co powstaje u nas wielkiego i nowego, niespo-

sób stać na uboczu i obserwować. Dzieło, które tworzy, przyciąga każdego młodego człowieka bez względu na wychowanie, jakie otrzymał, środowisko — z jakiego się wywodzi, filozofię — którą mu zaszczepiono — jeśli tylko ten młody człowiek umie patrzeć i myśleć.

Ale przyjdzie do nas, zadeklarowanie chęci tworzenia razem z nami — to tylko pierwszy krok, to początek drogi, która dla wielu jest drogą trudną i wymagającą wielkiego wysiłku Katarzyna ten krok zrobiła, skwitowała go gorącym wierszem, który jak — niestety — jak wskazuje dalsze jej życie, był tylko efektowną deklaracją. Bo nie wystarczy przyjść do ZMP i powiedzieć: „Przyszłam do was, mam dobre chęci, wychowujcie mnie, zróbcie ze mnie komunistkę”.

Nasza marksistowska ideologia to wielka i piękna rzecz, to system poglądów i idei, który pomaga żyć, stawać się panem swego losu, uczy prawidłowo rozwiązywać każdy problem. Wyzwała człowieka i przekształca go. Ale to jest ideologia, w którą nie wolno tylko „wierzyć”, to jest ideologia, którą należy znać, którą trzeba sobie przyswoić drogą gruntownych przemysleń, drogą łamania w sobie i odrzucania wielu dotychczasowych pojęć, nawyków w myśleniu, drogą przewartosciowania wielu rzeczy, w które się wierzyło, które zostały nam wpojone od dziecka, szczególnie wtedy, gdy pochodzi się ze środowiska takiego jak Katarzyna. I tej pracy nie dokona za nas żaden kolektyw, żadne koło ZMP, ten trud trzeba podjąć samemu — kolektyw, organizacja mogą tylko w mniejszym lub większym stopniu pomóc nam w tej trudnej sprawie.

Tragedia Katarzyny i jej podobnych polega na tym, że są oni tak dumni i zadowoleni ze zrobienia pierwszego kroku, że tak upajają się faktem pierwszego zerwania ze starym, iż przestają widzieć, że po „A” należy powiedzieć „B”, że formalne zerwanie ze starym światopoglądem nie oznacza wcale, że zdobyło się już nowy. Przyjście do ZMP człowieka miasącego to dopiero początek i od aktywnej postawy światopoglądowej takiego człowieka zależy całe jego dalsze życie. A życie nie znosi „biernych pasażerów” usiłujących połączyć swoje dotychczasowe ideały z marksizmem. Z takiego połączenia, jakiego dokonać chciała Katarzyna, powstaje tylko mdły „cocktail”, który może zresztą smakować o wiele bardziej i bardziej odpowiadać człowiekowi typu Katarzyny niż uczciwa i bezkompromisowa rozprawa ze swoją dotychczasową postawą.

Katarzyna wybrała w ZMP — zwłaszcza w ostatnim okresie — postawę takiego „biernego pasażera”. I jeśli przyszła na życie łatwe, na to aby tylko otrzymywać — musiała się zawieść.

Katarzyna nie przyzna teraz, że jest dziewczyną słabą, że wewnątrz zwyciężyła w niej drobnomieszczańska postawa wygodnictwa w życiu, że nie chce walczyć — i o własny światopogląd i o polepszenie pracy zetempowskiej.

Katarzyna woli twierdzić, że to ideologia ZMP jest zła, choć nigdy poza przyjęciem jej „na wiarę” tej ideologii nie rozumiała. Ale taka prawda jest — suokietyną prawdą Katarzyny.

Szkoda, że godzi się ona na takie wewnętrzne zakłamanie, na swój zamęt ideowy, na rezygnację ze szerszych i uczciwych rozwiązań moralnych. Możemy i chcemy jej dopomóc w zrozumieniu jej tragicznego błędu — nie możemy jej do tego zrozumienia zmusić...

Niedawno znów odwiedziłam Katarzynę w Z. Było to wczesną wiosną. Mieszała nadal z rodzicami. (Pododno, odtąd zauważyli, że „uspokoila się”, stali się dla córki bardziej czuli i troskliwi). Katarzyna ma własny, przytulny pokój. Dużo książek. (Akurat na wierzchu leżał tom Huxleya — „Po wielu latach”). Nad drzwiami matka kazala zawiesić wizerunek bolejącego Chrystusa.

Zastaliśmy Katarzynę nad jakimś skryptem. Uczyla się do egzaminu. Dyskusja ze mną zamęciła trochę spokój nauki. Posiedziłam dłużej. Przy filiżance kawy Katarzyna zwierzyła mi się ze swych planów: najbliższe — to wyjazd na wakacje, gdzieś w zacisne ułtowanie — pewnie z n i m, dalsze — to praca. Po ukończeniu studiów Katarzyna chce starać się o nakaz do Z. — w miastach też potrzebni są ludzie z wykształceniem zootechnicznym, a rodzice pomogą jakoś „urządzić się”...

Gdy opuszczałam jej dom — zapadał mrok. Zza parkanów uliczki Krzywej wieczorny wiatr przynosił zapach kwitnących drzew. Gazowe latarnie konkurowały ze światłem białych jeszcze gwiazd.

I nagle owładnęło mą pamięcią wspomnienie innego wieczoru. Także w Z. Przed dziesięciu laty... Było to chyba w styczniu. Dwie dziewczyny w żołnierskich mundurach „zabijały” ręce z zimna, stojąc na warcie przy koszarowym baraku. Na niebie krzyżowały się wojenne reflektory. Nazajutrz dziewczyny miały wyruszyć na zachód wraz z frontową kompanią. Teraz gorąco dyskutowały, prawie kłóciły się. (Niemal tak, jak przed chwilą ja i Katarzyna)

Jedna z dziewcząt przyszła do pułku ochotniczo wraz z ojcem i bratem — z alowskiej partyzantki. Była mimo swych dwudziestu trzech lat, zahartowana w kłeskach i zwycięstwach życia żołnierzem. Znała już cenę prawdy i gotowa była dla jej zdobycia wybrać najtrudniejszą drogę. Nie uznawała łatwiny i kompromisów myślowych. Z dumą mówiła o sobie: „Jestem komunistką”. Była to pełna żaru agitorka.

Na pewno trochę idealizuje ją teraz moja pamięć, ale zrobiła dla drugiej dziewczyny — swej ówczesnej przeciwniczki w dyskusji — więcej niż ktokolwiek inny w tamtych latach. To ona pierwsza uprzytomniła jej, że o wyborze życiowej drogi decyduje przede wszystkim człowiek sam, on sam jest w największej mierze odpowiedzialny za kształtowanie swego światopoglądowego losu. Zwalanie wszystkich upadków i słabości na „przyczyny obiektywne”, tkwiące tylko w otoczeniu — jest niegodnym uczciwego człowieka wybiegiem, niedzym usprawiedliwianiem swej istotnej miernoty i małości.

Dziewczyna-agitorka — mówiła o wielkości czasów, które idą. Porównywała je do wezbranej rzeki, zagarniającej po drodze wszystko. Mówiła, że niemożliwe jest, aby młody człowiek — z natury swego wieku wrażliwy i zapalny — pozostał w takich czasach na uboczu, „poza nurtem”. Przepowiadała taki „los” i drugiej dziewczynie — zagubionej drobnomieszczańce, przypadkowo rzuczonej do szeregu armii z akowskiej grupy. Tamta gorąco oponowała, namietnie głosząc „apolityczność” życia.

I tak w styczniową noc pod reflektorami, toczyła się jedna z tych wielu wzruszających i wymownych polemik naszych dni!

...Minęła dziesięć lat. Młodzłutka agitorka poległa podczar natarcia na przedpolach pomorskiej wioski...

...W Z. na ulicy Krzywej pod spokojnymi oknami kwitną wiosenne drzewa...

...Oporna, nieprzekonana dyskutantka, pisze dziś ten reportaż, wykazując Katarzynie, nie lubiącej polityki — nędzę drobnomieszczańskiej mentalności...

Jakaż jest potężna siła tej wielkiej „agitacyjnej szfatefy”, przebiegającej od człowieka do człowieka! Jakaż jest siła i wielkość naszej ideologii! Prawda naszej rzeczywistości! I właśnie polityki!

Zaden zbłąkany krzyk nie może rozlegać się dalecznie.

I dlatego przyjęłam zaproszenie: „...Przyjeżdźcie do Z. U nas wiosna, kobiety sprzedają bazię...”.

WYNIKI PLEBISCYTU KONKURSOWEGO NA NAJŁADNIEJSZY UŚMIECH STUDENTKI



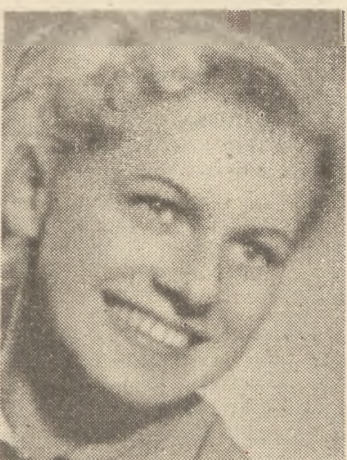
Kol. Halina Witkowska —
Warszawa (zdj. konk. 2)
I nagroda — portret olejny;



Kol. Helena Sikora — Szczecin (zdj. konk. 57)
II nagroda — torebka damska
(wybrana przez laureatkę);



Koleżanka z Wrocławia (zdj.
konk. 62)
III nagroda — srebrna puderniczka;



Kol. Mirosława Jażdżewska
(zdj. konk. 53)
V nagroda — apaszka.



Kol. Józefa Norkowicz — Poznań (zdj. konk. 50)
IV nagroda — pończochy steelonowe (I gat.);

NAGRODY VI — X (KOSMETYKI) OTRZYMUJĄ:

Kol. Aleksandra Jachtoma —
Kraków (zdj. konk. 1);
Kol. Małgorzata Szalata —
Poznań (zdj. konk. 19);
Kol. Teresa Stulgis — Opole
(zdj. konk. 69);
Koleżanka z Warszawy (zdj.
konk. 67);
Kol. Maria Kuchnowska —
Wrocław (zdj. konk. 13).

LISTA NAGRODZONYCH UCZESTNIKÓW PLEBISCYTU —
NA STR. 7.

BENIAMIN FARRINGTON

Filozofia i polityka w dzisiejszej Anglii

Artykuł napisany specjalnie dla POPROSTU

Redakcja POPROSTU zwróciła się do mnie z prośbą o napisanie artykułu na temat filozofii i polityki w dzisiejszej Anglii. Uczyniła to w nadziei, że w ten sposób przyczynię się do polepszenia wzajemnego zrozumienia młodzieży różnych krajów, która już niedługo spotka się w Warszawie. Spotkanie to tak mnie cieszy, że nie mogę odmówić tej prośbie, chociaż nie czuję się w pełni na siłach, by omówić szeroko tak obszerne zagadnienie.

Dla redakcji POPROSTU związek filozofii z polityką wydaje się rzeczą oczywistą. Podzielać to zdanie. Jest to również zdanie każdego, kto uznaje światopogląd marksistowski. Dla marksizmu charakterystyczne jest dostrzeganie związków zachodzących pomiędzy rozmaitymi rodzajami działalności ludzkiej, traktowanie ich wszystkich jako przejawy działalności tego samego społeczeństwa.

Pogląd ten jednak nie jest w dzisiejszej Anglii powszechny. Zaczęć może od tego, że związek między filozofią a polityką wydaje się przeciętnemu Anglikowi daleki a nawet nierealny. Twierdzi się czasami, że Anglii nie lubią pojęć ogólnych i nie posiadają zdolności do myślenia spekulatywnego, a także, że są oni narodem praktycznym, mającym zamiłowanie do rozwiązywania powstających problemów bez wyciągania z nich szerszych wniosków. Nie sądzę, aby była to jakaś stała cecha Anglików. Uważam natomiast, że otoczyli oni swe poglądy na różne sprawy nieprzeniknionymi przegrodami. Proponuję, by mój krótki artykuł był właśnie ilustracją tej osłowności na podstawie mych własnych doświadczeń. Doświadczenia te zebrałem w sposób dwójaki: po pierwsze jako wykładowca uniwersytecki i po drugie w ruchu obronców pokoju. Uwagi swoje uporządkuję według tych dwóch aspektów, z tym, że najpierw zajmę się wyższym wykształceniem w Anglii.

NAUKA I SPOŁECZEŃSTWO

W Wielkiej Brytanii, jak wszędzie we współczesnym świecie,

wysuwa się postulat zwiększenia liczby naukowców i technologów. W krajach socjalizmu, gdzie nauka i technika traktowane są jako wielka sprawa społeczna i jako dzwignia podnoszenia wspólnym wysiłkiem stopy życiowej całej ludności, problemy te nie są pojmowane jako wąskie, skąpe i pozabawione wartości kulturalnych. Ale w Anglii czysta nauka jest izolowana od nauki stosowanej, obie zaś całkowicie izolowane są od społeczeństwa. Historia społeczeństwa nie jest wyjaśniana w związku z rozwojem techniki, zaś rozwój techniki nie jest częścią składową powszechnie uznanego planu polepszenia losu ludzkości. Nauka i technika izolowane w ten sposób od całokształtu życia społeczeństwa zostają zdehumanizowane i pojmowane są jako pozabawione wartości kulturalnych. Żądanie zwiększenia liczby naukowców i techników uważane jest za groźbę dla kultury. Z pola widzenia traci się wykorzystanie tych dziedzin działalności dla ludzkości; jest to zarazem perspektywą rosnącej swobody od tego wszystkiego, co dziejziny te rzeczywiście inspirowały. Rozwój nauki i techniki w krajach poprzednio zacofanych komentuje się jako rozpręszanie się materializmu na całym świecie. A to znów — według opinii przeciętnego Anglika — stanowi groźbę dla całego naszego bytu. Dlatego bardzo łatwo go przekonać, że powinniśmy poświęcić olbrzymią część paszyży bogactw na produkcję broni zniszczenia. Doskonale nasświetlił to zagadnienie prof. J. D. Bernal w swojej ostatniej pracy „Nauka w historii”. Potrafi on zainteresować swoim punktem widzenia szerokie kręgi społeczeństwa. Jednakże poglądy J. D. Bernala bynajmniej nie są powszechnie przyjmowane i nadal daleko jeszcze do tego, by wpływały one na oficjalną politykę.

Jeśli prawdą jest co wyżej powiedziałem, to znaczy, że obecnie Anglii na skutek niezrozumienia związku między nauką a społeczeństwem rewolucyjne osiągnięcia nauk fizycznych traktują raczej jako przekleństwo niż błogosławieństwo.

A przecież nie tylko fizyka osłabła poprzez wynalazki wspaniałego postępu w ciągu ostatnich 50 lat. Nauka historii również uległa poważnym, rewolucyjnym zmianom. Archeologowie umożliwili opisanie stadiów dzikości, barbarzyństwa i cywilizacji z jasnością i dokładnością poprzednio nieosiągalną, a także umożliwili badanie związków między kulturą materialną i duchową, na bazie takiego zasobu wiadomości, jakim nie rozporządzały wcześniejsze pokolenia. Pociągnięto to za sobą jakościowe zmiany w wiedzy historycznej. Obecnie można wypracować syntetyczny pogląd na cały tok rozwoju ludzkości, można bardziej precyzyjnie zdefiniować, co rozumiemy przez cywilizację, można wypracować znacznie lepszą kontrolę nad dalszym rozwojem społeczeństwa. Prof. Gordon Childe w zachwycający wprost sposób określił znaczenie tej nowej wiedzy i uczynił ją użyteczną dla celów dydaktycznych. Ale mimo że książki jego cieszą się wielką popularnością, dokonane przez niego odkrycia nie znalazły zastosowania w formalnym wyższym wykształceniu. Nie oddziaływały one również na oficjalną myśl polityczną. Wniosek, jaki wypływa z tych odkryć jest pogląd, że nasz obecny sposób produkcji jest jedynie jednym z wielu następujących po sobie, nie zaś ostatnim. Jednak taki rodzaj przejścia od filozofii historii do praktyki politycznej nie jest w obecnej Anglii akceptowany.

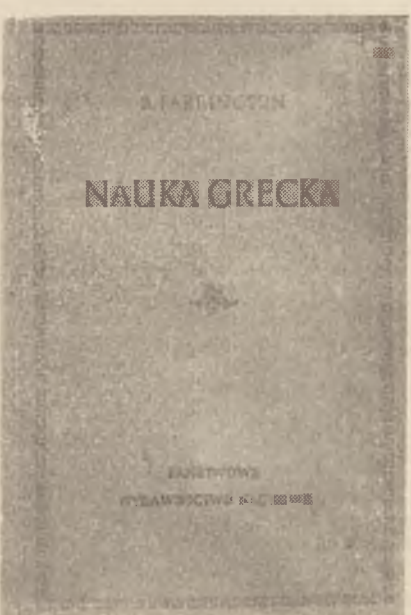
W umiowaniu kultury klasycznej starożytności (która jest przedmiotem moich specjalnych zainteresowań), brak naukowej filozofii historii daje się bardzo silnie odczuć. Okres ten izolowany jest od historii powszechnej. Przypisuje mu się wyjątkowość, której w rzeczywistości nie posiadał. Wielkich pisarzy uważa się raczej za nieśmiertelne wzory elokwencji niż za etapy rozwoju świadomości ludzkiej. Za wielce niefortunne uważa się wprowadzanie do rozważań nad starożytnością takich pojęć zaczerpniętych ze świata realnego, jak „epoka żelaza”, „ustrój niewolniczy”, czy „gospodarka pieniężna”.

Prof. George Thomson w swojej pracy „Ajschylos i Ateny” oraz w innych dziełach wiąże narodziny epiki, tragedii i filozofii z ekonomiczną bazą społeczeństwa, które wytworzyło te formy świadomości. Kolejny prof. Thomsona mimo podziwu dla jego wiedzy uznali jednocześnie tę interpretację za błąd znakomitego uczonego. Marksiści natomiast uznają, że krusząc bariery między poszczególnymi dziedzinami działalności społeczeństwa, prof. Thomson dokonał pracy pionierskiej, powołanej do przeobrażenia studiów nad starożytnością.

ANGLIK A FILOZOFIA

Nie mówiłem jeszcze o filozofii we właściwym tego słowa znaczeniu. Można mieć nadzieję, że jedną, a może nawet główną funkcją filozofii winno być wykrywanie związków pomiędzy rozmaitymi dziedzinami ludzkiej wiedzy. Funkcją tę spełnia marksizm, gdy zaś filozofia spełnia to zadanie, wówczas staje się najbardziej godnym przedmiotem ogólnego wykształcenia. W dzisiejszej Anglii sprawy przedstawiają się jednak inaczej. Filozofia ogranicza się tu tylko do problemów teorii poznania i stara się wykryć ostateczną definicję prawdziwej wiedzy nim jeszcze umożliwi ona zdobycie jakiegokolwiek. W rezultacie filozofia stała się raczej specjalizacją niż przedmiotem powszechnego zainteresowania. Nie wie się o tym, że każdy musi mieć filozofię, nawet w tym wypadku, gdy składa się ona jedynie z paru przysłów i modlitw. Dziś, przynajmniej wykształcony Anglik z zadowoleniem stwierdza, że nie rozumie filozofii. Jest on bowiem zbyt skromny, zbyt obojętny. By dążyć do takiej rzeczy jak światopogląd. Nie próbuje nawet wprowadzić do swojego sposobu myślenia jedności i konsekwencji. Ale w sposób nieunikniony gazety, BBC i inne środki propagandy baczają, by jego czynny pozostawał w zgodzie z określonym rozumieniem świata, nawet wtedy, gdy nie zdaje on sobie z tego sprawy.

Przykłady te wyszczególniłem dla wyjaśnienia co miałem na myśli mówiąc, że dzisiejsza Anglia jest godna uwagi ze względu na stopień, w którym poglądy na róż-



B. Farrington jest wybitnym postępowym uczonym angielskim. Zakres jego twórczych zainteresowań — o bok spraw najbardziej współczesnych — obejmuje także historię filozofii i historię nauki. Powyżej reproduujemy fotokopię karty tytułowej tłumaczonej ostatnio w Polsce jego popularno-naukowej monografii, zawierającej m. in. wiele ciekawych i oryginalnych rozwiązań.

ne zagadnienia są wzajemnie izolowane. Wspomnę jeszcze o innym przykładzie. Teorię polityczną studiują się bez związku z ekonomią, ta zaś zostaje sprowadzona do problemów dystrybucji. Strona produkcyjna, która łączy ekonomię z nauką, technologią i planową produkcją, zostaje poza zasięgiem uwagi, aczkolwiek nie tracił jej z oczu angielski odkrywca tego zagadnienia, Adam Smith, gdy książkę swoją nazwał „Bogactwo narodów”.

TRUDNOŚCI RUCHU POKOJU

W zakończeniu nawiążę do dziedziny polityki i parę słów powiem o głównym problemie naszego wieku: o osiągnięciach światowego ruchu pokoju. Skoro polityka pokoju, której zwycięstwa należy oczekiwać, zależy od dostrzegania związków między wielką ilością różnych aspektów życia i działalności ludzi, to łatwo będzie zrozumieć, że ruch pokoju w Wielkiej Brytanii napotyka na liczne trudności. Anglii są często apatyczni, bo czują się bezzadni. Wielu spośród aktywnych uczestników tej walki należy do małych grup, które ze względów religijnych lub humanitarnych odrzucają wojnę, ale nie rozumieją jej źródeł ekonomicznych i społecznych, przez co nie są skłonne do brania udziału w pokojowym ruchu politycznym o skali światowej. Wydaje się, że nawet przywódcy Labour Party zapomnieli, że świat socjalizmu jest jedną gwarancją trwałego pokoju, chociaż 50 lat temu rozumieli to wszyscy socjaliści. Ruch jednak mimo to potężnieje. Członkowie Labour Party sięgają do tych prawd, które zapomnieli przywódcy; spowodują oni to, że zostaną usłyszani. Na stronę pokoju przechodzą grupy zawodowe naukowców, autorów, artystów, lekarzy i nauczycieli. Wszyscy ci ludzie są zgodni co do myśli, że nic poza ruchem światowym nie może zabezpieczyć pokoju i że pokój musi opierać się na ekonomicznych i politycznych instytucjach narodów świata. Zgodnie z tym Angielska Rada Pokoju, która opiera się na naukowej analizie przyczyn wojny i współpracuje ze światowym ruchem pokoju, może z ufnością oczekiwać w przyszłości rosnącego poparcia.

Nie ulega wątpliwości, że trudności, które opisałem, nie ograniczają się do Anglii i że można je spotkać również w innych krajach. Niechaj zadaniem Festiwalu Warszawskiego stanie się dopomożenie młodzieży wszystkich krajów w przezwyciężeniu tych trudności.

Młoda plastyka przed Festiwalem

Od dłuższego czasu w plastyce polskiej dawał się odczuwać głód formy artystycznej, która we właściwy sposób mogłaby oddać piękno naszego życia, która sugestywnie ukazywałaby widzowi najwęższe problemy naszej epoki. Powojenna nasza plastyka przechodziła ciężkie nieraz okresy zmagania się z trudnościami, w walce o sprecyzowane oblicze nowego, twórczego realizmu. W trakcie tych zmagających powstawały i powstają jeszcze dziś płótna pozbawione koloru, powietrza, dynamiki — płótna, których jedyną „wartością” był „produkcyjny” tytuł. Polane brunatnym sosem, martwe natury z „Trybuną Ludu” na pierwszym planie, sąsiadowały na dotychczasowych wystawach ze smutnymi, bez światła i jakiegokolwiek kompozycji przestrzennej pejzażami: „PGR Sołnowe”, czy też zbiorowymi portretami kilku ludzi o ziemistych twarzach, ozdobionymi szumnym tytułem: „Przodująca Brygada”. Przez długi czas tematyka życia prywatnego nie znajdowała miejsca na ścianach salonów sztuki współczesnej.

Ze wszystkich dziedzin sztuk plastycznych najbardziej obroną ręką wysiły z tych walk grafika. Być może stało się tak dzięki pedagogicznej działalności kilku naszych wybitnych grafików-realistów.

Pomimo wielu dyskusji, wielu niejednoznacznych już wysuwanych hasel mówiących o sile twórczej inwencji młodych artystów, zbyt mało dawano im możliwości otwartego wypowiedzenia się. Nieliczne były wystawy, na których szerokie rzesze miłośników sztuki mogłyby zapoznać się z twórczością młodzieży. Świeżość ujęcia, artystyczna forma i głęboko humanistyczne treści — oto trzy cechy ogólne charakterystyczne „Pokaż prac z krajowych konkursów plastycznych, organizowanych przez Polski Komitet Organizacyjny Światowego Festiwalu Młodzieży i Studentów”. Wystawa ta, otwarta w dn. 16 bm. w gmachu warszawskiej Zachęty, nie była wielkim wydarzeniem, przegladem osiągnięć młodej plastyki.

Oznacza ona duży krok naprzód i nastroja optymistycznie na przyszłość, zawiązując różnorodnością talentów i wzrostem indywidualizmu poszczególnych młodych twórców. Nie wycofuje się na ogół skrepowania tematem, większość prac wykonana jest z prawdziwym przejęciem przedstawianej treści. Wystawa tętni kolorem, jest optymistyczna i pełna młodzieńczego entuzjazmu. Bez wątpienia zawiera również cały szereg pewnych błędów i nieporozumień, ale są to błędy wynikające z aktywnych poszukiwań, z pełnych napięcia walk o żywe oblicze sztuki.

Skoncentrowało się tu szereg rozmaitych kierunków: obok obrazów grawitujących ku impresjonizmowi, wystawiono na prace zawierające wiele pierwiastków realizmu, nie brak jednakże obrońców naturalizmu.

Jednym z najlepszych obrazów jest „Okupacja” Stefana Gervatowskiego z Warszawy (II nagroda, dział „mal.”). Tej Jury nie przyznało nikomu. Tragizm na scenie rozstrzelania odłamu została z dużą ekspresją, dobre studia psycholo-



Tadeusz Dominik „Macierzyństwo” (ryzykowność: „Matka i dziecko”). II nagroda w konkursie na grafikę.



Włodzimierz Buczek — „My za pokojem”. II nagroda w konkursie na plakat.

Foto: A. Lipka.

giczne twarze, nastrojów potęgę rzucony na ścianę cien helmu niemieckiego żołnierza.

Natomiast obraz Zdzisława Głowackiego z Łodzi: „Młoko” również odznaczony (II nagroda) jest nieprzekonywujący — ciekawa w założeniu koncepcja nie została wypracowana emocjonalnie. Brak nastroju właściwego, jakby się mogło zdawać, takiej scenie, postaci młodej są ciężkie, włożone w ramy obrazu. Kompozycji brakuje powietrzności.

Świetnie zaobserwowana scena wyróżnia się obraz „Przed występow” Tadeusza Łakomskiego z Krakowa (III nagroda). Przebiegające się dziewczęta namalowane są lekko, z wdziękiem, każda posiada ściśle określony, ale naturalny udział w akcji. W kompozycji nie zostało jednak opracowane należycie zagadnienie świata. Wydaje się, że autor mógłby słuszenie wykorzystać efekt smugi świetlnej padającej z uchylonej kurtyny i puścić ją w środek sceny, podczas gdy w tej chwili akcent ten jest w kompozycji elementem mało ważnym.

Słusznie wyróżniona została „Martwa natura” I. Celnikiera z Warszawy. Malowana szerokimi pociągającymi pędzla, impastowo, — dobrze zakomponowana o-

gamie kolorystycznej ujętej syntetycznie.

Nieporozumieniem jest wyróżnienie „Nauczycielki” J. Tarasina z Krakowa, gdyż poza dość dobrym psychologicznym studium twarzy starej nauczycielki, obraz nie jest ciekawy. Kompozycja sztywna, sztucznie upożarzowana frontalnie. Zestawienia kolorystyczne nieprzejrzyste i uproszczone.

Na dyskusji dotyczącej Wystawy Sztuki Meksykańskiej zorganizowanej w Br. w Warszawie, jeden z artystów zabierających głos powiedział: „Obawiam się, że wkrótce w naszej plastyce nastąpi epoka meksykańska”. — Istotnie, monumentalna ta sztuka wywiera ogromne wrażenie zwłaszcza w kołach młodych artystów. I oto na jednej ze ścian przedfestiwalowej wystawy króluje niepodzielnie „pseudo-meksykańizm”. Bez krytycznego naśladowania sztuki, która w Meksyku jest sztuką narodową, walcząca i ściśle związana z polidniowym klimatem — u nas absolutnie mija się z celem.

Ekspozycja na pokazie rzeźba nie przynosi specjalnych rewelacji. Kompozycja na ogół są dobre, nie wnoszą jednak zarówno pod względem tematu jak i formy nic nowego. Na marginesie war-

to podkreślić fakt, że niestety od wielu lat prace rzeźbiarskie na wystawach plastycznych, jeśli chodzi o materiał, zawierają się jedynie do gipsu. Rzadkością jest technika drewniana, brąz, czy kamień.

Bez porównania bardziej interesujące przedstawiają się prace graficzne. Cechuje je ogólnie wysoki poziom artystyczny, staranne opracowanie i wielokrotność technik. Powtarzając się często obecnie tak ogromnie ważny, ujęty jest w poszczególnych pracach świadomość, że najcięższym stosunkowo wypadł akwarele, natomiast plakaty charakteryzują oryginalnością pomysłów i śmiałością ich rozwiązanie.

Reasumując wrażenia z Pokazu, należy stwierdzić, że wystawa ilustrująca wkład pracy młodych artystów w przygotowanie do V Światowego Festiwalu Młodzieży i Studentów daje widzowi bogaty materiał emocjonalny. Dla obserwatora z zagranicy wystawa tworzy obraz, której głównym tematem jest człowiek, jego życie i praca, jest przekonującym odbiciem tego, co dla nas wszystkich jest sprawą najważniejszą.

GABRIELA LIPKOWA



o sprawach niebłahych

Obecność na egzaminach z filozofii, towaroznawstwa, patologii ogólnie i budowy części maszyn w 4 wyższych uczelniach Łodzi, opinie i wypowiedzi profesorów i studentów przed i po zdaniu umożliwiają ustalenie właściwości i cech sesji letniej bieżącego roku. Z licznych, mniej ważnych, wybieram cztery najistotniejsze.

* Pierwsza cecha — to nieumiejętność wiązania treści jednego przedmiotu z całokształtem wiedzy jaką student posiada. Świadczy o tym chociażby fakt, że prawie nikt z pięćdziesięciu studentów Uniwersytetu, Akademii Medycznej i Wyższej Szkoły Ekonomicznej zdających — przy mnie — egzamin nie potrafił wykorzystać wiedzy jednej dyscypliny do innych, spokrewnionych treściowo przedmiotów, mimo że pamięciowo opanowanie jej potwierdzają noty w indeksie, nieraz nawet bardzo dobre. Przykłady:

Student na egzaminie z towaroznawstwa zapomina o potrzebnym mu przy odpowiedziach wiedzy z geografii, fizyki i chemii. Zdający patologię ogólną nie wykorzystuje wiadomości z fizjologii i bakteriologii. Prawnik zapytany o związek norm moralności komunistycznej z socjalistycznym prawem nie potrafił połączyć omawianych zagadnień, mimo że związek ten jest oczywisty nawet dla laików. Profesor Serejski z UE opowiadał o magistrancie zdającym egzamin z historii historiografii polskiej, który nie widział zależności między pozytywistyczną

szkołą warszawską a pozytywizmem filozoficznym, chociaż w jego indeksie z historii filozofii wpisana była nota „dobrze” i profesor sugerował związek między historią filozofii a metodologią historii w omawianej kwestii.

Niestety nie są to fakty jednostkowe, wyjątkowe. Ich masowość pozwala nawet odtworzyć odpowiednie schematy studiowania.

Na niewiele dni przed egzaminem (najdłużej 10) student zaczyna się uczyć, a właściwie pośpiesznie wykuwać „na blachę”, upychając w głowie setki faktów, danych, określeń i dat — po to, aby potem, podczas zdawania, po każdym pytaniu wyzwalać się od tego ładunku niepowiązanych z sobą, nieprzeżytych ani emocjonalnie, ani intelektualnie szczegółów. Charakterystyczne jest w tym procederze jedno. Młody człowiek podczas odpowywania czerpie wiadomości tylko — mówiąc obrazowo — z jednego „poła” mózgu. Cała wiedza leżąca tematycznie tuż obok omawianych problemów jest na ogół niewykorzystana.

To odrodzone w XX wieku scholaststwo, to nanizanie do pamięci faktów jak paciorków różańca, bez myśli ogólnej, wiążącej je w problemy, większe całości, hierarchie filozoficzne, bez szukania ogólnych praw — niesie za sobą wszystkie niebezpieczeństwa aintelektualizmu i bierności umysłowej.

* Druga cecha powiązana w logiczny ciąg z pierwszą to minimalne odczytanie studentów ujawniające się jaskrawie niemal przy każdym egzaminie. Uczący obawiają się przecięcia pamięci nadmiarem wiedzy

teoretycznej. Rzadkie wypadki wybiegania poza wystroncowaną literaturę potwierdzają raczej tezę o braku samodzielności w myśleniu, nikłym krytycyzmie przy zdobywaniu wiedzy, mało twórczej docieklivosti naukowej. Te niedociągnięcia zmuszające się przy egzaminie zmuszają do szukania przyczyn tego stanu rzeczy. Jeden z profesorów Uniwersytetu Łódzkiego chyba najlepiej określił jego istotę, powołując się na uwagi Lelewela wygłoszone podczas wykładów wileńskich.

„Uczeń wiedzieć to powinien, że nie staje się własnością jego, czego będzie uczony, ale to, czego się sam nauczył, że bez własnego zdolności swych rozwijania, nikt ich z niego wydobyć nie zdoła, bez ich obudzenia w sobie będzie znikomym echem, które po kilkadziesiąt obdług się w uszach jego, w słabym Zustanie przypomnienia, a nie zasiadli się w mózgu...”

* Trzecia cecha to wadliwy język i nieprecyzyjne myślenie. Pamięciowe opowiadanie materiału, zdenerwowanie podczas egzaminu, brak precyzji w myśleniu powodują, że język odpowiedzi mało ma wspólnego ze ścisłością i jasnością naukowych określeń. W wielu wypadkach oscyluje on na pograniczu dziecięcej mowy niewiudziej i pseudonaukowego żargonu. Oto jego próbka:

„Naród można określić pewne cechy, które są konieczne, aby istniał, aby można było nazwać go narodem...” „W Polsce właśnie nie mamy kaolinu. Tak że właśnie musimy go sprowadzać z zagranicy. I artykuły wyrabiane z porcelany

wysyłamy właśnie za granicę. W szarej porcelanie właśnie itd. itd. To nie złośliwość, a wierne, jak z taśmy magnetofonowej odtworzenie wypowiedzi zdającego. Zie jest, że egzaminatorzy nie zwracają na to uwagi. Trudno jednak winić egzaminatora, który po kilku dniach sesji staje się po prostu niewrażliwy na ten nieludzki język. Uderzmy się we własne piersi; nikt z młodych klarowności języka tej „bezpośredniej rzeczywistości myśli” — jak mówi Marks — nie pielegnuje.

* Czwarta cecha to stan psychiczno-fizjologiczny i samopoczucie zdających.

Widziałem spoczone, wylekłe, blade twarze, oczy przekrwione po nieprzespanych nocach, ociężałych od wysiłku katorżników nauki „odwalających” przeciętnie co czwarty dzień egzamin obszerny jak setki stron skryptów, podręczników i notulek. Zdawanie egzaminu jest dla nich godzinami męki, zdenerwowania, loterią ryzyka i niepewności, a nie humanistyczną, swobodną wymiarą myśli między uczniem, a mistrzem. Czyż po takich „przejściach” można zapłonąć miłością do nauki, czy też raczej ją nienawidzić?

* Występowanie zdających, analiza ocen i wypowiedzi wykładów potwierdzają w zasadzie postulaty zmiany systemu studiów. Czas najwyższy przesunąć ciężar studiowania na ćwiczenia, seminary, prace kolokwialne i zaliczeniowe, stworzyć bodźce i warunki do systematycznej pracy, zmniejszyć ilość egzaminów rozkładając je na dłuższy okres czasu.

Sprawa sesji bynajmniej nie jest błaha. Z. G.

Wyniki konkursu wiosennego „Co będą studiować”

27.V. br. odbyło się w redakcji losowanie nagród wśród uczestników wiosennego konkursu POPROSTU pt. „Co będą studiować”. W wyniku losowania nagrody otrzymują kol. kol.: GERARD KRUPA — Polt., Śląska Gilwice — RADIOODBIORNIK, HUBERT KRASKO — Lic. Ogóln., Warszawa — PATEFON Z KOMPLETEM PŁYT, MARIA ZAWADZKA — Lic. Nazaretanek, Częstochowa — TECZKA SKÓRZANA, NORBERT LACH — Lic. Ogóln. — Rydułtowy woj. śląs. — WIECZNE PIÓRO.

NAGRODY KSIĄŻKOWE OTRZYMUJĄ:

Aleksander Apelblat — Politechn. Łódź.	Jerzy Murzonek — AGH Kraków.
Witold Aramowicz — Politechnika Gdańska.	Józef Nocniak — AGH Kraków.
Jadwiga Bialek — Uniw. Łódź.	Teresa Oalka — Lic. Ogóln. Ra-
Robert Baciór — WSE Wrocław.	wicz.
Jan Banaszek — Lic. Ogóln. Puław.	Ryszard Sadowski — Polt. Gdańska.
Manfred Bach — Polt. Śl. Gliwice.	Narcyza Sidor — AM Lublin.
Maria Bender — Lic. Ogóln. Łomża.	Zoila Słupsk — AM Gdańsk.
Zenon Dudek — AGH Kraków.	Stanisław Słupsk — Techn. Hutn. Chorzów.
Stanisław Graboń — WSE Kraków.	Teresa Smus — Lic. Ogóln. Warsza-
Zbigniew Górak — Polt. Warsz.	wa.
Krzysztof Ignasiński — AM Poznań.	Danuta Sieradzka — Polt. Krakow-
Bolesław Jarmarek — Lic. Ogóln.	ska.
Włodzisław	Wiesław Stanisławski — Lic. Ogóln.
Józef Kabut — Lic. Ogóln. Ryduł-	Tczew.
woj.	Józef Sieniackowski — Lic. Ogóln.
Franciszek Kiwak — Nowa Wieś	Plock.
woj. rzeszowski.	Joachim Śmieja — Lic. Ogóln. Ryb-
Emil Kmiec — WSR Kraków.	nik.
Stanisław Kobylec — AM Białystok	Julian Uhnalt — Polt. Śl. Gliwice.
Józef Korecki — Lic. Ogóln. Ryduł-	Halina Wachowska — PWDN Lu-
towy.	blin.
Henryk Kozłowski — Techn. Hutn. Gliwice.	Tadeusz Wilkoszewski — Lic. Ogóln. Golonóg.
Gustaw Matias — Polt. Gdańska.	Aleksander Włodarz — ZSRR — Ka-
Henryk Miksa — AM Białystok.	zań.
Krzysztof Misiewicz — UBB Wro-	Wojciech Wójcik — UJ Kraków.
claw.	Henryk Wykretowicz — Szczecin.
	Ryszard Wrzali — Lic. Ogóln. Jawor.

Druga lista nagród za udział w konkursie „Kto potrafi”

Zgodnie z regulaminem naszego konkursu, redakcyjne jury przyznało nagrody za rozwiązania nadesłane w miesiącach kwietniu i maju. Oto lista nagrodzonych:

I nagroda — ALEKSANDER WOŁOŚ, Olsztyn WSR — za najlepszy z nadesłanych rysunków, przedstawiających uśmiech Głordana Bruna (zadanie 3) — TECZKA SKÓRZANA — DYPLÓMATKA.

II nagroda — DANUTA JĘDRZEJCZYK, KUL. — za odpowiedź na zadanie 36 — SREBRNA PUDELNICZKA.

III nagroda — EULALIA SAJDAK, UW. — za odpowiedź na zadanie 49 i 45 — KOMPLET KSIĄŻEK.

IV nagroda — JERZY DUDZIŃSKI, uczeń XI klasy, Łódź, — za odpowiedź na zadanie 48 i nadesłanie zadań — ŻYWA PAPUGA.

V nagroda — JERZY RATAJEWICZ, Kraków AGH. — za odpowiedź na zadanie 52 — AUTOMATYCZNY OŁÓWEK.

VI nagroda — LUCYNA KRAKOWSKA, Poznań PWSP. — za odpowiedź na zadanie 5 i 44 — CZEKOŁADA.

NAGRODY KSIĄŻKOWE:

IRENA KOZIŁOŁNA, Nysa — za dużą ilość odpowiedzi.

ANNA ROSZKOWSKA, Warszawa — za odpowiedź na zadania 26, 27 i 37.

JÓZEF LATOSIŃSKI, Wrocław. — za wiersz w odpowiedzi na zadanie 18.

S. ZALESKI, Wrocław. — za odpowiedź na zadania 50 i 52.

RYSZARD MAZUREK, Poznań AM. — za odpowiedź na zadanie 24.

KTO WYLOSOWAŁ KSIĄŻKI:

Spśród uczestników plebiscytu konkursu na najładniejszy uśmiech studentki nagrody książkowe wylosowali kol. kol.:

Henryk Gutowski — J. W. 3788/T
W. Bronowicz — Gdańsk
Tadeusz Brzeziński — Gdańsk
Wanda Soltys — Toruń
Helena Kosmala — Wrzeszcz
Ryszard Traczynski — Szczecin
Danuta Sieradzka — Kraków
Józef Czekaj — Kraków
Szczepan Adolf — Wrocław

Wielki wakacyjny konkurs — ankieta pod hasłem „Niepróżnujące próżnowanie”

Przed nami tygodnie wolne od zajęć na uczelni. W tym czasie wielu z nas wyjeżdża na wieś, do rodzinnego domu, gdzie będziemy odpoczywać, opalać się, reperować nadwątloną nauką siłę. Jednak nawet najsumienniejsi leniuchowcy „na łonie rodziny” studentów pozostanie trochę czasu, z którym nie wiadomo co zrobić.

Możesz naturalnie leżeć na sianie i myśleć, że życie bez konieczności zdawania egzaminów jest piękne. Ale mógłbyś od czasu do czasu zdzielać coś pożytecznego.

Opatrzając się na powyższym wydowie logicznego Redakcji POPROSTU ogłasza:

WAKACYJNY KONKURS-ANKIETA

Jeżeli nie jesteś pomyslowy, energiczny, brak Ci fantazji i rozmachu, nie masz zdolności organizatorskich — nie czytaj dalej.

Nasz KONKURS-ANKIETA jest dla ludzi myślących i czujących, lubiących zmiany i czynne życie. Jeśli dodamy, że praca zawodowa z dokonania pięknego czynu będziesz miał możliwość wygrać aparat fotograficzny, kupon materiału, skórzany walizkę itp., to zapewne niewielu studentów oprze się chęci wzięcia udziału w

WAKACYJNY KONKURS-ANKIETA REDAKCJI POPROSTU.

Warunki KONKURSU nie są trudne.

PUNKT 1: Po przyjeździe na miejsce należy zaznajomić się z sytuacją i zastanowić: W jaki sposób mógłbyś przyczynić się do polepszenia życia Twojej wsi?

Możesz np. zorganizować wieczornice festiwalowa lub pomóc w założeniu świetlicy, zespołu artystycznego, czy drużyny sportowej. A jeśli masz więcej czasu i... wiedzy — zorganizuj odczyt na tematy popularno-naukowe z dziedzin rolnictwa, zainteresuj się stanem zdrowotnym mieszkańców, udziel im porad prawnych, rozpocznij badania nad folkloru...

Ilczyśmy na Twoją inteligencję, która podsunie Ci szereg innych możliwości wykazania swej inicjatywy i pomyslności na terenie wsi.

PUNKT 2: Dobry piękny pomysł to jeszcze nie wszystko. Potrzebny drugi nasz KONKURS-ANKIETA przewiduje realizację pomysłu, indywidualnie lub grupowo.

PUNKT 3: Po dokonaniu zamierzonej pracy należy nadesłać do Redakcji POPROSTU sprawozdanie. Relacje z przebiegu pracy mogą być podane w formie notatki, listu, pamiętnika czy opowiadania. Nie martw się, jeśli nie umiesz pięknie pisać. Chodzi przede wszystkim o jakości dokonane czynu.

W nie materiał zgłaszać.

Termin nadsyłania sprawozdań upływa z dniem 31 października.

PUNKT 4 i ostatni: Cierpliwie czekać na ogłoszenie wyników KONKURSU-ANKIETY, które nastąpi w pierwszych dniach grudnia.

Zwycięzcom czekała następująca nagroda:

I. APARAT FOTOGRAFICZNY
II. KUPON MATERIAŁU
III. SKÓRZANA WALIZKA
IV. WIECZNE PIÓRO
ORAZ KILKA KOMPLETÓW KSIĄŻEK.

BELLUM CONTRA OMNES ■ BELLUM

Książka zażeń pt. „Świat”

Znany poeta Mieczysław Jastrun odbył podróż po NRD. Po powrocie wpisał do książki zażeń pt. „Świat” następującą listę skarg na Niemiecką Republikę Demokratyczną.

1) Dworzec berliński jest zadymiony.
2) Nikt nie czyta polskich książek, a z polskiej poezji tłumaczy się tylko szablone wierszyda.
3) Goetheemu nie chciało się przełożyć Mickiewicza.
4) Arnold Zweigl jest megalomanem.
5) Kuba (Kurt Bartel) utył, przestał być

Rudy, nosi krawaty i źle przełożył „Ode do młodości”.

6) Na spotkanie z polskimi literatami mało kto przyszedł.

7) Tak jak w Polsce, piszą tam złe wiersze.

8) Na wzgórze, na którym wznosi się Warburg, trzeba wspiąć się pieczo.

9) Pogoda nie dopisywała.

10) Przedstawiciel zachodnio-niemieckich wydawców nie jest marksistą.

Ciąg dalszy listy zażeń tygodnika „Świat” zamieści w następnym numerze.

J. U.

Do Jerzego Broszkiewicza

ADAM BARON

Wiesz jak bardzo bliskie jest mi każde Twoje słowo. Czytam i zbieram wszystko, co napiszesz. W poszukiwaniu Twojego słowa stałem się niemal śmieśzny. To duży awans w sercu człowieka dla każdego piszącego. Nie o to jednak idzie. Czuje do Ciebie żal. Gdy 27 marca przyjechałem „Wyrok” studiujący, byłem urzeczony, siłą sugestii, pięknymi słowami i... fałszem z jakim autor potrafił podać, mało tego, przemycić na łamy marksistowskiego pisma literackiego swoje wielokrotne wrogielce. Tak jest — wrogiel! Postaram się to niżej wyjaśnić.

Myślałem o tym, czy odpisać panu Stadnickiemu, ale stało się mi coś na przekór. 22 maja Ty odpisałeś Stadnickiemu. Ucieszyłem się niezmierzanie. Wiedziałem, że Ty, pisarz, czyś ciekaw, jakie odpowiedzi na pismo z Łodzi, ba (bez arystokratycznego savoir vivre) bezczelna prowokacja polityczna.

Jestem pisarzem i to przez duże „P”.

Ten talent, a poza tym sumienie pisarza, to talentu zapowiadało coś wielkiego.

A tymczasem... Ty wierzysz w rozwój talentu autora „Wyroku”, wierzysz w odchód do historii, nie potrafisz ująć w opowiadaniu hipokryzji, tłumaczysz brak właściwych proporcji, a nawet dajesz się wciągnąć wielu argumentom „obrońcy”.

Argumentowanie słuszności koncepcji literackiej autentycznością faktów nie jest czynem najszlachetniejszym, ale między innymi chce Ci otworzyć oczy na pewne sprawy. Otóż Stadnicki, to nie „autor — świadek dramatu”, ale autor-bohater dramatu. Piszesz: „Nie znam jego nazwiska ani imienia. Musi być „dobrze” — może nawet „świetnie”. Teraz już nie znam. Bohater opowiadania — to utleniony pisarz, Jerzy Stadnicki, to osławiony we wrocławskiej Akademii Medycznej literacki.

Pomiedzy talentem a zaprzeczaniem nie należy stawiać znaku równości. Nie to samolot czy mamy żądać od Stadnickiego, by stał się bolszewikiem pisarzem? Śmiesz! Żadam czegoś innego: by na łamach marksistowskiego pisma literackiego nie ukazywały się „opowiadania” o tak wyrażnie nie naszej linii politycznej i aby partynijny pisarz Jerzy Broszkiewicz, wyrażając dostrzeżenie do niedopisane między liniami a przede wszystkim to napisane i... wydukuwane! Kładę to na karb nieoczekiwanego chaosu w całej kulturze (nie tylko w „Nowej”) na tak zwany „etapie odwilży”.

Nie znasz ich, Ciebie nie umiem usprawiedliwić.

Piszesz co prawda, że Stadnicki w „Wyroku” nie zawsze jest konsekwentny, że „nagle szlachetny patos zaczyna się gubić, retoryka płatać swój wysoki lot”, piszesz nawet, że sam oskarżony „zadomniatł o słowie „nigdy”, że zaczynał obojętnie nie tylko klasę, lecz i podjeżdżać. Politycznie podejrzane. Mimo to zaczynam mówić o jego „pasji moralnej” o „wielu racjach oskarżycielskich”.

Nie znasz ich, nie wiem co było faktycznym item „Wyroku”. Nie pasja mo-

ralna — a złość, nie racja oskarżyciela — a przekierunek sprawy, przeinaczenie faktów, czasu i całego szeregu akcesoriów.

Zauważyłeś może, że niektórzy aktorzy są w jednej roli urzekająco prawdziwi, inni — przykrywają, przykrywają, gdy w innych stają się piaski i papierowi. Dzieje się to dlatego, że pewne role są ich rolami życiowymi! Mam wrażenie, że dla Stadnickiego „bohater opowiadania” był rolą życiową. Ale nie przesadzajmy faktów. Może to rzeczywiście drugi Zeromski?

Jeżeli ciekawia Ciebie fakty, to mogę Ci zakomunikować, że rzecz działa się w 1930 roku, a nie w 1945 — czy 6, że wówczas mowy już nie było o PPR, ZWM, czy PSL (śmieszne byłoby przypominanie zmian danych), że dążyło się to nie w uczelni prawniczej, tylko we wrocławskiej Akademii Medycznej, że przyczyną rozprawy było składowanie i wysłanie Józefa Stalina w czasie zbierania anamnezy przez studenta medycyny — Jerzego Stadnickiego.

Czy to oznacza, że bronie tych, którzy taki wyrok wydał? Nie mam zamiaru bronić ani poszczególnych członków komisji, ani komisji w całości. Nie o to mi idzie. Błądów było wiele i wiele ich jeszcze być może w naszym trudnym, a jednak szlachetnym świecie. Ale jest, że uczeni Stadnickiego byli niesprawiedliwi, może był też sprawiedliwy. Nie wiem. Kiedy się ta cała afera stała głośna w tutęjszej Akademii, byłem studentem drugiego roku medycyny. Nie chęć być wyrocznią.

Idzie mi o coś innego: o polityczny, przewidywalny klasowy charakter „Wyroku”, jako dzieła literackiego. Po dojrzała i atrakcyjna forma została ukryta w sposób niesłychanie urzekający i... sprytny! Stadnicki zbudował „Wyrok” w następujący sposób: oskarżony stał się oskarżycielem i to nie było jakimś strategicznym podstępem. Wyrok — to sprawa wielka, nderza w wysoki ton oskarża o sprawę (nazwijmy je takto: nie) grube. Sposób formułowania każe wnosić, że są to sprawy ogólne, nie jednostkowe. Stadnicki oskarżał nie mniej, ni więcej, tylko... naszą rewolucję. Ten błąd strategiczny, wyrażający się w generalnym przeprowadzaniu na kanwie spraw drobnych, osobistych.

Uważane czytanie „Wyroku” pozwalało orientować się, jak dalece oskarżony „walczył i walczył o ustroju”, jak bardzo się zbliżył do rewolucji i czy zrozumiał jej sens. Ciekawym jest, jak bardzo naiwnie traktuje Stadnicki problem walki klasowej, jak ignoruje jej istnienie, chociaż sam na własnej skórze przekonał się o jej skutkach. Równie ciekawe jest dla mnie zaimprowizacja pożył obronnej w imieniu klasy, którą rzekomo porzucił, „rozłożonej na łopatki”.

Opowiadane jest w wielu miejscach niekonsekwentne, niedopowiedziane, ale w tak przemysłowy sposób, że czytelnik przekonany o niewinności oskarżonego

sam rozwiązuje te zawłoki na jego korzyść.

Próbujmy zastanowić się nad tym, co niewątpliwie postawi bohatera w korzystnym świetle: był więzieniem obozu koncentracyjnego. Wbrew emigracji wrócił do kraju, rezygnując z dobrobytu zagranicy i z dobrobytu w kraju, w którym żył, majątku w kraju już nie posiadał. Obywa fakty potwierdzają stanowisko oskarżonego odmienne w porównaniu z całością arystokratki. Nikomu nie były znane (prócz jednej osoby) pobudki powrotu, co usprawiedliwia czujność, a nie nieufność w stosunku do niego.

Inne momenty nie są zbyt przekonujące. Twierdzi on mianowicie, że „walczył i walczył o ustroju”, że zrobił wszystko, aby się doń zbliżyć. Jest to jednak tylko szermierka słowna. Pragnie on, by uznano jego polemiki rodzinne i pomiedzy innymi arystokratami za walkę o ustroju. Żąda dla siebie pełnego zaufania od klasy do niedawna wywyższanej tylko dlatego, że zorientował się w nieludzkich metodach postępowania własnej. Nie zmienia jednak sposobu myślenia. Z całości wynika, że nie zrobił nic poza zachorowaniem na czerwonyko rewolucyjną w celu zapoznania się z ideologią klasy robotniczej. Niewiele interesowały go zagadnienia ideologiczne: „sto złotych zapomogi wydanych na polskie leśnictwo”, których nigdy nie przeżył. A szkoda (może nigdy tam coś takiego, co daloby impuls do głębszego zastanowienia się nad tymi zagadnieniami).

Wobec tego, że rewolucja dokonuje się według innych praw, niż chciał tego oskarżony, daje on kilka recept i uwag krytycznych, których nie chciałbym określać. Uczęm to sam. Na początek może być kwestia obojętności Stadnickiego. Oskarża on chłopów o to, że nie wierzą do ziemi; 2) wienopoddańczy stosunek do panów; 3) brak zaufania do niego (oskarżonego); 4) niesłuszne oskarżenie ziemian o wyzysk (przecież to jego roszczenia umożliwiła jedynka studia); 5) oskarżenie o poróżnienie panów i większą reakcyjność o ziemian; 6) kradzież mienia ziemian.

Gubi się w ocenie chłopstwa. Nie wie lub nie chce nie wiedzieć o jego roztwórnieniu, zapominając (?) o kulacztwie! Nie godzi się z tym, że renta gruntu jest najwstrętniejszą formą wyzysku.

Jednak najbardziej zjadliwie atakule Stadnicki, system rządzenia i uzależnienia, system rządzenia i uzależnienia. Coż — wiele nieistotnych zarzutów można by wytłumaczyć brakiem znajomości taktyki rewolucyjnej. Pisze on: „Dlatego z nieufnością uczyniłyście system? Dlatego zakładacie, że ustroj jest otoczony wrogami?” Gdybyśmy nie mieli słowa „nieufność” wstawili „czujność” — brzmiałoby to całkiem prawdziwie. Tak jest — z czujnością uczyniłyśmy system, a to boli i jest dla niektórych panów bardzo, bardzo niewygodne. A wrogom krzyczą: to plany; no — tym się chyba najmniej martwimy. Co do tego otoczenia, mam wrażenie, że teraz sam Stadnicki lepiej to rozumie.

Stadnicki usiłuje kwestionować prawdziwość, które zostały już stwierdzone nawet przez burżuazję i w imię których odbywały się rewolucje burżuazyjne. Rehabilituje młodzież ziemiańską, czyni to w sposób języczny, przyznając im pewne wady do darowania, powlekając równocześnie zalety tej młodzieży, wyniki ze zmienionej sytuacji ekonomicznej. Popada przy tym w niekonsekwencję tego kalibru, że cała obrona bierze w łeb. Pisze: „Miode ich pokolenie ziemian — przyp. A. B. rozróżnia już dobrze naród od klasy i kosmopolitizm od internationalizmu”. Jak widzimy kolosalny krok naprzód, ale czy dokonał tego sam, czy też ktoś im w tym pomógł? Czy zrozumieliby to siedząc w swych majątkach lub zgrywając się w mienie Carlo?

W kraju nie miał rodziny (Jakaż to była rodzina, rodzice nie żyli, z bratem daniem koty, bo uważa mnie za „komunistę”) względnie nie interesował się nią, lecz pierwsze kroki były, że: „... pójde natychmiast do domu, dom, rodzina, kochanie, radość, pytania, iótko, przeleże chyba z tygodni, a dziś nie powiem od

razu, kto przybył, niech zgadną...” Wiele znowu się coś nie zgadza. Albo jedno, albo drugie. Wierzę raczej w prawdziwość tego drugiego. Po co ta fanfaronada? Nikt nie żąda zrywania więzów rodzinnych. W jakim celu zaprzecza związków krwi, do których i tak przynależy się jak winowajca.

Szczególnie niejasno przedstawia przyczynę oskarżenia: „Badającemu wytacza się proces polityczny, oskarża się go o prowokację”. „Wasze zacietrzewienie spowilo, że nie comiejsie się przed absurdem, zmoutowaliśmy proces na słowach wariata. Wykorzystaliście jego odpowiedź by oskarżyć mnie o prowokację”. Nie przytacza Stadnicki ani jednego pytania zadawanego w czasie demonstracji przypadków! Jest to szczególnie słaby punkt narracji.

Albo dość już przykładów i cytowania nieograniczonego samego tekstu. Nie one były najważniejsze. Opowiadanie kontrowersyjne z faktami stało się słabsze. To też nie najważniejsze, ale to jaki cel „Wyrok” objektivnie osiągnął. Mam wrażenie, że to jasne — niedwuznaczne są aluzje i pojęcia.

Najważniejszy, według mnie, jest fakt, że „Wyrok” trafił do wielu ludzi, do takich, którzy na podstawie tej arcykunsztownej filipki mogli sobie wiele wyobrazić w przedmiocie „świecie”. Nie mam zamiaru potępiać tu kilku starszych czy pań, którzy zalewały się łzami czytając „Wyrok”, czy kilku gogusłów na grubych zelówkach (jaki ten Baron schematyczny) którzy od tego czasu zaczęli kupować „Nową Kulturę”. Ekipokoleim się, że „Wyrok” jest jednym z młodszych przyjaźni — robotnikowi. Rezultat był nieoczekiwany — spłunął i zapytał, która to gazeta wydrukowała, gdyż był pewien, że to zachodnie czasopismo. Zauważono był czerwonymi sztafardami na pierwszych stronach. Zapomniał jednym słowem „granda”.

Stadnicki usiłuje wymazać nam prawie biologiczne wyniszczenie ekspurywilejowanych. Tak smutnie dla niego składa, że autor niniejszego listu jest synem sanacyjnego majora-lekarsza (czynne służby), a obecnie jest asystentem Instytutu Fizjologii PAN i Akademii Medycznej we Wrocławiu. Bą lepsze przykłady. O arystokratkach studiujących na ludowych uczelniach pisze w 23 numerze POPROSTU Aleksander Szymanek z Krakowa, podając nazwiska: Lubomirski, Radziwiłł, Sanguszko, Potocki, Zdzisławski, Wollanowski.

Zarzut, że niszczą klasę — niszczonego kulturę — należy traktować jako skandal! Kto wywoził w 1944 r. hitlerowskimi wagonami dzieła sztuki na Zachód? — Potocki! Kto usiłował wywieźć w 1946 r. obraz „Wniebowzięcie” — Wollanowski? Stadnicki z Nawojowej! Kto miał przed wojną dostęp do dzieł sztuki, do obrazów, arrasów, starej porcelany, rzeźb? Czyżby proletariatu? Śmieszne i małe, brudne i cuchnące nienawistą zarzuty, a przede wszystkim kłamliwie.

Mimo powolności się na wysoką kulturę, kre „fair play”, gentlemansztwo nie widzi, aby autor wiecie zrozumiał z naszej rzeczywistości. To, co widzi, nawiewa w sposób złośliwy i podły.

Przed Stadnickim — pisarzem — chałupa bas! I ja uznaję talent, ale Stadnickiemu subiektywnie i krótko ujmującemu prawdę przeciwstawiam groźne veto! Czy traktuje Jerzego Stadnickiego jako wroga? Nie! Wierzę, że to wszystko co chce Polsce oddać — odda. Siły i pracę, życie. Widzę również jego polityczną ślepotę. Tak jest. I ta właśnie ślepota spowodowała, że w zbyt obojętne potraktowanym temacie zabrakło samokrytycznego, głębszego, dialektycznego oddechu. Jedną z przyczyn jest nieoczekiwane autora w dziedzinie literatury filozoficznej, a przede wszystkim brak mu podstawowych wiadomości z zakresu materializmu historycznego i dialektycznego.

Jeżeli ktoś wątpi w przenikanie wrogich tendencji w nasze życie radzie przeczytać „opowiadanie” pt. „Wyrok” Jerzego Stadnickiego, a szczególnie „tym z was, którzy jeszcze nie rozumieli, a uczucie usiłują zrozumieć”. Gdybyś widział Ciebie odwiedzić i powiedział to wszystko, na co nie pozwalają ograniczone możliwości druku.

Serdecznie Cię pozdrawiam. Adam

Wrocław w czerwcu 55.



"Miłości, miłości, ty wielka królowo..."

Początkowo sprawiło mu to trudność, ale później, w miarę jak częściej spotykał się z młodym, naiwnym dziewczęciem, swobodnie już posługiwał się kwiecistym i zawilim stylem, znany mu z alamanachów młodych pisarzy, którzy w ten sposób rozpoczynają nieszczęśliwą działalność literacką, a także z utworów Róży Jeseńskiej, która u schyłku kariery wprowadza kroczące cicho po miedzach południce, a więc to, od czego zaczynała siedemnastoletni sztabacy w ogłaszanych po kryjomu ulotkach.

I on miał siedemnaście lat i on był gimnazjalistą. Na każdej randce mówił dziewczynie, że jego duża jest pełna radości, ciągał ją na Hradczany, by słuchać grania dzwonów na Anioł Pański i stojąc na zamkowym wzgórzu deklamował:

— Oto dźwięki, które gasną w świątynnej ciemności, laskawa pani, gdy tymczasem ironiczne wykrzykniki gazowych lamp wnoszą światło w nasze oczy, upragnione światło pożądaną pełną jasności, piękna światła, co świeci, oświetla, plonie świetliście, błyska w płomieniach lamp świecących...

Dalej nie wiedział, a ona spoglądała ku niemu z kornym uwielbieniem i nasłuchując jego sposób zwracania się do niej przez „laskawa pani” odpowiadała:

— Tak, laskawy panie! Światła te świecą, rozświetlając ciemność nieprzenikniętą i pustą jak pustynia, po której jadą smutni... — kontynuowała jego podniosłym stylem.

Szli ku domowi hradczańskimi uliczkami, a on jej mówił o cichym pięknie, o intymności zakątków pod starymi dachami, nagle pociągnął ją szybciej, bo na rogu pewnego domu widniał napis: „Zanieczyszczenie tego miejsca jest wzbronione”. A właśnie, nieszczęsny trafem, wskazał w tym kierunku ręką, mówiąc, że dusza spragniona ciższy chroni się do takiego milczącego zakątka, w gęstniejący półmrok starych arkad, tu szukając spełnienia tęsknot o pięknie.

A ona, niewiniątko, zauważywszy napis, zapytała, kto i jak zanieczyszcza.

Nawet spojrzaniem można piękno zbezczyć — odparł. — Plugawe spojrzenia wpijają się jak szatan w ciche zakątki i za chrapliwego przerwania kopaczki zniszczenia kończą dzieło zagłady. Chodźmy!

Ona jednak stała jak wryta przed napisem: „Zanieczyszczenie tego miejsca jest wzbronione” i spytała podnieconie:

— Czy odnosi się to i do psów, laskawy panie?

Skinął smutno głową, a koło serca poczuł ukłucie po tym pytaniu, które tę małą, dobrą dziewczynę stawiało w jego oczach w zupełnie nowym świetle. Pojął, że ona wie już, czym jest świat i jego nieprawości, więc ze smutkiem odrzekł:

— Jakże droga jest samotność, jakże droga cisza i pieśń lasów, gdzie życie nie jest niczym skalane, gdzie nie ma napisów o przyziemnych sprawach człowieka. Życie, laskawa pani, to bój, to nieustanne zakazy, zwracanie nam uwagi na rzeczy i czyny, które chciałbym, aby pierzchły, uciekły daleko, daleko, w niezmierny przestwór.

Ujął rękę bogdanki i popędził po schodach w dół ulicy, ale tak nieszczęśliwie, że wpadł akurat na wychowawcę swej klasy, wlokącego się powoli na Wikarkę.

Puścił więc najdroższą i drżąc z szacunku stał teraz przed nauczycielem, który wykrzykiwał:

— Zanotuj to sobie na górze, a jutro z tobą pogadam. Masz mi, Knobloch, sam o tym przypomnieć; dobrej nocy, kochasiu!

Ona nie była świadkiem tej rozmowy, ponieważ szła dalej, więc gdy ją dogonił, rzekł:

— To był Vrchlicky*), pytał mnie, co porabiam.

Miał przy tym łzy w oczach.

— Pan płacze, laskawy panie?

— Bo on tak źle wygląda, laskawa pani.

Pelen cichej melancholii kroczył z nią ulicami i mówił o zaognionych, wzburzonych smutkach. Kupił jej pomarańczę, ale ona zapowiedziała, że jej nie będzie jeść, tylko zasuszy i schowa na pamiątkę. Potem spytała, czy pomarańczę przynosi szczęście, na co odparł, że stanowi ona symbol skryzalizowanych charakterów, gdyż jest to kula a kula — to kształt najdoskonalszy.

Jakoś minął mu poetyczny nastrój i z kolei on zapytał, czy wie, jak się oblicza objętość kuli.

Byli już wtedy za mostem, gdzie musieli się pożegnać, aby nikt jej nie zobaczył, że rozmawia z mężczyzną.

Umówili się na spotkanie następnego dnia, dziewczę podając mu drobną dłoń szepnęła:

— Niech pan słodko śpi, laskawy panie!

Tymczasem on spał tak słodko, jak morderca przynajmniej trzech osób, któremu policja depta po piętach.

Sniło mu się, że rada pedagogiczna na mocy zarządzenia Krajowej Rady Szkolnej prowadzi go na

gląda przy tym błagalnie na pana dyrektora, który mówi:

— Daresmnie prosisz, chłopcze, nie mogę ci nic pomóc; Krajowa Rada Szkolna postanowiła, że będziesz ukrzyżowany obok Knoblocha...

W tym momencie obudził się i przywidziało mu się, że w nogach łóżka siedzi wychowawca jego klasy. Krzyknął tak strasznie, że zbudziła się kobieta, u której mieszkał na stacji.

— Kiedy on tak okropnie wyglądał! — bąkał. — Siedział tutaj, włosy mu się jeżyły, a z ust buchał płomień.

Zrobiła mu kompres na głowę, ale już do rana nie usnął i niesłuchanie przynęcony skradł się o kilka ósmę do gimnazjum.

Serce mu tak waliło, że i żółdek zareagował; na ulicy Szczepańskiej wyświadczył dobrodziejstwo usłuchanej akcji, podzieliwszy się z nią swym śniadaniem.

Wychowawca klasy ledwie wszedł i zapisał się w dzienniku, zawołał:

— Knobloch, do tablicy!

Blady i dygoczący stanął Knobloch przy tablicy a wychowawca zacierał kąpiąc ręce indagował:

— Nie masz mi nic do powiedzenia? Może zapomniałeś, może masz tak słabą pamięć, że trzeba ci przypomnieć?

Drżącym głosem Knobloch wyjąkał:

— Mam panu przypomnieć, panie profesorze, że wczoraj na schodach zamkowych wpadłem na pana.

POKRZYWIWY

Hradczany. Wszyscy profesorowie mają nabite karabiny a na nich bagnety, zaś pan dyrektor prowadzi go na powrozie. Z całym orszakiem kroczy też tercjan szkolny Waniek, wioząc na ręcznym wózku wielki krzyż. Kiedy dochodzą do Placu Radeckiego, tercjan Waniek bierze krzyż z wózka i wkłada jemu, Knoblochowi, na ramiona. Dźwiga go teraz na Hradczany. Wokół tłumy, stojących w szpalerach uczniów szkół średnich, machają chusteczkami i na znak profesorów w uniormach krzyczą:

— Ukrzyżujcie go! Ukrzyżujcie go!

Do nogi przywiązano mu jakieś malca z pierwszej klasy, który ma być razem z nim ukrzyżowany, ponieważ na klasówce z czeskiego napisał: „Balon podobny jest do jajki”. Chłopczyna teraz płacze, zalamuje ręce i całą drogę modli się na głos: „Jajko, jajka, jajku, jajko, o jajko, jajkiem, w jajku”. Spo-

Cała klasa wybuchnęła gromkim śmiechem.

— To wszystko, Knobloch? Nie masz odwagi mówić o innych szczegółach? A z kim to siedział chłopcze?

— Z moją ciotecznią siostrą. Witaj Knoblochu, mój długo szukany bratanek! Bo była to moja córka, chłopysiu, a żeby wszyscy w klasie wiedzieli, że Brutus, targam więzy pokrewieństwa i wpisuję ci do dziennika klasowego śliczną trójkę ze sprawowania.

Zlamany wracał Knobloch do domu, a kiedy mijal róg akurat gramofon na parterze zaczął grać: „Miłości, miłości, ty wielka królowo!”. Knobloch w tej chwili wyglądał tak smutno, że jakiś zabłąkany pies, który biegł tędy, spojrzawszy na niego poczuł współczucie i towarzyszył mu aż do mieszkania.

Przełożyła

Helena Gruszczyńska - Dubowa

*) Jarosław Vrchlicky (1853—1912)

— wybitny poeta czeski, autor kilkudziesięciu tomów poezji, ok. 30 dramatów. m. in. tłumacz „Dziadów” Mickiewicza.

Inkwizycja

Z KRAKOWSKIEGO PRZEDMIEŚCIA

Ledwo wszedłem do hallu wydziału dziennikarskiego — ktoś zastąpił mi drogę. Był to chudy młodzieniec z opaską na ręce, na której widniał napis: „Straż moralno - obyczajowa”.

— Kolega jest sam? — zagadnął mnie obcesowo i natychmiast rozkazał: — Proszę zaraz poszukać sobie trzech towarzyszy, w przeciwnym razie... — i spojrzawszy wzrokiem tak straszny, że nogi się pude mną ugęły.

Korytarzami biegali inni młodzieńcy z identycznymi opaskami. Zagladali w każdy, najmniejszy nawet zakamarek. Myszowali pod ławkami, grzebali w koszach od śmieci, szufladach, ubikacjach i spluwaczach. Jeden z nich prowadził wystraszzonego, bladego studenta, który co chwila mdał. Inny wodził trzyosobową grupę zapłakanych dziewcząt, jeszcze inny krzyczał na czterech studentów:

— Wy mnie nie wprowadzicie w błąd! Było was do tej pory trzech, a czwarty niedawno się dołączył!

Nie pomogli tłumaczenia. Studentów wyprowadzono z sali wykładowej, w której tymczasem działy się niemniej dziwne rzeczy. Oto kilkudziesięciu robotników smarowało podłogę jakimś płynem i instalowało tajemnicze aparaty w ścianach, krzesłach i stolikach.

— Co się tu dzieje? — zagadnąłem jakiegoś normalnie wyglądającego młodzieńca, który kierował brudną. Poprosił mnie na stronę i po dokładnym obejrzeniu służbowej legitymacji wyjaśnił szepem:

— Wprowadzamy zabezpieczenia moralne. Jeśli ktoś popełnił czyn niezgodny, to podlega w miejscu przestępstwa zabarui się na kolor czerwony, a aparaty zanotują dialogi, nazwiska i inne dane personalne...

— Wy w dalszym ciągu nie wykonujecie moich poleceń — usłyszałem znajomy głos. Był to chudy młodzieniec ze straży moralno-obyczajowej. — Proszę o indeks!

Zacząłem tłumaczyć, że nie jestem studentem, że nie mam indeksu, ale surowy cerber przerwał moje gorączkowe wyjaśnienia:

— Nie ma gadania! Pozwólcie ze mną! Tu ujął mnie pod rękę i zaprowadził do niewielkiego pokoju, w którym siedzieli kilku młodych, przeziębionych wyglądających ludzi. Nostli opaski podobne do tych, które widziałem na korytarzu. Były czarne ze złotymi napisami: „Komitet wydziału dziennikarskiego do walki z niemoralnością” a pod spodem: „Inkwizytor I stopnia”.

Chudy młodzieniec wyprężył się służbiście:

— Wielki inkwizytorze I stopnia! Brat Nikodem melduje o schwytniu studenta, nie przestrzegającego przepisów dziekanatu.

— Stuchajcie to jakieś nieporozumienie, ja nie jestem studentem, ja jestem dziennikarzem... — utrącił.

— Ha! — wykrzyknął szatanisko inkwizytor I stopnia — tym gorzej dla was! Nie ma się co usprawiedliwiać! Jesteście na naszym wydziale i musicie się stosować do naszych przepisów. Trzeba było przyjść w



rys. Jerzy Cwiertnia

czwórke albo poszukać trzech studentów do kompletu!

— Kiedy ja nie wiedziałem...

— Szkoda gadania. Staniecie przed wielkim trybunałem. Na razie załatwimy inne sprawy, poczekajcie!

Do pokoju weszła studentka w towarzystwie studenta. Zajęli miejsca za czarnym stołem. Byli bardzo zdenerwowani.

— Jesteście obwinieni — zaczął inkwizytor — o popełnienie czynu niemoralnego w sali wykładowej, w której przebywaliście pod pozorem przygotowywania się do sesji. Władze wydziału postanowiły was usunąć z uczelni, co zostało obowiązujące na tablicy ogłoszeń III roku.

— To nieprawda, to wierutne kłamstwo! — denerwował się student. — Jak możecie zarzucać mi coś podobnego, nie mając na to dowodów!

— Dowodów? Proszę bardzo! Pierwsze: czy fakt przebywania we dwoje w sali wykładowej przez kilka godzin, to mało?

Wyszedłem od wielkiego inkwizytora skorzystawszy z tego, że inkwizytorzy byli bardzo zajęci sprawą owej pary. Ale ciekawość przezwyciężyła moje obawy i już następnego dnia poszedłem znów na wydział dziennikarski.

W hallu zobaczyłem tłum studentów, który otoczył tablicę z ogłoszeniami. Najdalej stojący drapali się po głowach kolegów do przodu, lub przemysłali pod nogami innych. Najbliżej chwile milczeli, a potem... Jezus, Maria! To nie był śmiech, to nie były salwy śmiechu, to było coś potężniejszego! Drżały ściany, wylatywały drzwi i okna, spadały ciężkie tablice w najdalszych nawet salach. Na Krakowskim Przedmieściu gromadziły się tysiące prze-

rażonych ludzi, zajeżdżały wozy strażackie i milicyjne.

Doprawdy, wierząc mi, nie potrafię oddać ani nastroju, ani wszystkich straszliwych zjawisk, które miały miejsce w owych chwilach. Ludzie tarali się ze śmiechu, wstrząsali nimi paroksyzy my konwulsji, dwóch dostało ataku hysterii. Wtem rozległ się straszny huk. To trzech pękło. — Nie pozostało z nieszczęśników ani jednego szczątka. Piętnaście karetok pogotowia zabrano kilkadziesiąt innych ofiar. Tłum rósł z każdą minutą.

Wisieliśmy uciążliwy podmuchem śmiechu między zyrandol a sufity i z góry obserwowałem niezrozumiałe dla mnie wypadki. Po paru godzinach, dzięki usilnym staraniom straży pożarnej pojedynczo wyprowadzano studentów. Ktoś pomógł mi zejść z niebezpiecznej wysokości. Podbiegłem do tablicy, potykając się o czającego śmiechem człowieka.

I wtedy narazie zrozumiałem! Zobaczyłem niewielkie ogłoszenie w którym, o dziw, widniały nazwiska studentów znajomych z rozpraw przy Wielkim Trybunałem Inkwizycyjnym i jeszcze kilka linijek maszynowego pisma.

Ogłoszenie wisi naprawdę. Każdy z Was — o Czytelniku zamieszkał w mieście stołecznym Warszawie — może iść na Krakowskie Przedmieście do gmachu wydziału dziennikarskiego i przeczytać na tablicy ogłoszeń co następuje:

Komisja dyscyplinarna, po zapoznaniu się z okolicznościami zajścia z dnia 11.VI.1955 r. uznała wysunięte zarzuty o postępowanie sprzeczne z podstawami moralności, za nieuzasadnione.

Równocześnie zwraca się uwagę na obowiązujące na UW przepisy porządkowe, zabraniające przebywania w salach wykładowych i ćwiczeniowych poza godzinami zajęć grup studentek mniejszych od czterech osób.

Ścisłe przestrzeganie przepisów porządkowych przez studentów nie da żadnych podstaw do powstawania pretekstów i pozwoli na uniknięcie w przyszłości wszelkich nieporozumień wprowadzających niepotrzebne zamieszanie do życia naszego wydziału.

Przew. Kom. Dyscyplinarnej: mgr A. Słisz; Dziekan wydziału prof. J. Halpern.

Warszawa dnia 18.6.1955 r. Po wyjściu z budynku dziennikarski szedłem ulicami otrzaskując się powoli z mroków średniowiecza.

Pod wpływem słońca postanowiłem wyrzucić Przew. Kom. Dyscyplinarnej w dalszej pracy ustawodawczej i rozwinąć jego genialne zarządzenia. Nowy kodeks ukuł mi się w paragrafy:

1. Każdemu studentowi przyznać etatowego stróża moralno - obyczajowego dyżurującego również w nocy pod łóżkiem.

2. Cztereoosobowe (co najmniej) grupy studentów powinny pozostawać pod stałą opieką jednej babki (lub 2 ciotek równoważących 1 babkę) któregośkolwiek studenta (studentki).

3. W każdej chwili i sytuacji studenta i studentkę winien dzielić dystans 4 metrów. Do odmierzenia odległości powołana zostanie specjalna komisja.

4. Szczegółowe przepisy dotyczące kontroli zachowywania się w ubikacjach i innych pomieszczeniach opracowane zostaną w terminie późniejszym. A.G.

UWAGA! NA ŻYCZENIE NASZYCH CZYTELNIKÓW TERMIN NADSYLANIA PRAC KONKURSOWYCH NA SATYRĘ STUDENCKĄ ZOSTAŁ PRZEDŁUŻONY DO 30 LISTOPADA BR.



Rys. Szymon Kobylński

Redaguje kolegium.

Wydawca: RSW „Prasa”.

Adres Redakcji: Warszawa 18

ul. Wiejska 17/1. Telefon: red

akcz — 841-24 Centrala 832-91 do 93

Prenumerata: POPROSTU Miesiecz-

nie — zł 1.40, kwartalnie — 4.20

po półrocznie — 8.40, rocznie —

16.80

Administracja: RSW „Prasa”, III

Delegatura Warszawa, ul. Marszał-

kowska 8 tel. 807-11

Drukarnia: RSW „Prasa”, Warsza-

wa, Marszałkowska 3/5

Zam. 1353, B-6-7086